

GODZINA POGARDY

Sikiswahat

WACŁAW MAKOWSKI

GODZINA POGARDY

(WRAŻENIA).

Schizma. atz



WARSZAWA, _____ 1906.
DRUK PIOTRA LASKAUERA I SP.

WILNO — 1906
NAKŁADEM KSIĘGARNI W. MAKOWSKIEGO
_____ Ś-TO JAŃSKA 29. _____



Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 февраля 1906 года.

884 (090) "18/19"



2.
R. 210
11/2.461.

Wydając obecnie pisane dawniej fragmen-
ty, uczuвам pewne skrupuły. Tyle się zmie-
niło od czasu, kiedym je pisał, może dziś nale-
żałoby pisać inaczej. Jednak zmiana bodaj po-
zorna; jeśli przeżywszy „godzinę pogardy“,
godzinę wątpień i niemocy, lęków i rozpa-
czy, weszliśmy na nową drogę czynu, — to
moja książka będzie wspomnieniem; jeśli-
śmy jeszcze nie zupełnie z wczorajszym
dnem się pożegnali,—a tak zdaje się jest na-
prawdę, to może książka będzie przypomnie-
niem. A zresztą przed Lucyferem jeszcze
długie krzyżów i męki ulice, może więc e-
cha tego, co było, echa tej walki nie prze-
brzmia zbyt rychło, i trzeba będzie kowalo-
wi form powtarzać teraz, jak dawniej.—Pędź
Lucyferze?

„GODZINA POGARDY“

(Próba syntezy twórczości artystycznej obecnej).

A na początku mrok był wkrąg oblany mro-
[kiem,
i spały głębie wód bez poruszenia ciche,
wszystko zmieszane.—Byt w głębinie spał chao-
[su...

I oto wielki On, oznaczający wszystko
narodził siebie sam przez moc swojego chcenia.
A na początku w Nim ukryta była miłość;
Jego potężny duch wydaje pierwsze siemię...

.
I któż te rzeczy zna? Kto mówić o nich może?
Skąd idą byty? jak tworzyło się stworzenie...
I Bogów stworzył On. Z niego poczęte Bogi...
Lecz On? Kto o nim wie, jaką istnieje mocą?..

(Rig—Vedy)

I oto wśród nieobjętej przestrzeni pojawiły
się płonące kule słońc, po tajemniczych,
wszechwładną ręką nakreślonych, drogach
pędziły ciche planety, wędrownice wieczne.
Tam zapalały się i gasły gwiazdy, a tam ro-
ty aniołów, to kornie biegły spełniać rozka-

zy Jehowy, to znów powstawały dumne i buntownicze przeciwko Stwórcy i Panu swemu, chciały być równe mocą, potęgą i wspaniałością temu, który w bólu przeolbrzymim, w strasznej, tajemnej, twórczej męczarni, rozzerwał duszę swą na tysiące i tysiące istnień i dusz odrębnych. A tam znowu, po małej ziemskiej łupinie, rzuconej kędyś w bezkresne odmęty, zabłąkanej wśród tłumu wiecznych, jak ona, wędrownic, pełzało plemię człowiecze, to plemię bękarcie, te odpadki wyższych światów anielskich. Bo nie dano było człowiekowi stanąć w szeregu wyższych istot niebieskich, ani też stać się podobnym ziemi, po której chodzi. Wytworem dziwnego jakiegoś pomieszania jest człowiek. Stworzył go Bóg, ale tworzywo wziął z ziemi; i oto stał się człowiek, biedna istota, co ani sięgnąć do nieba nie może, ani o jego cudach zapomnieć, ani w ziemi się rostopić, ani się od niej oderwać w ponadgwiezdnym locie. A może dwóch było bogów: jeden promienny, tajemniczy, dziwny Bóg nieba i duszy, a drugi twardy i ciężki, zimny i ponury szarej ziemi bóg, i dwaj ci bogowie naraz jednego stworzyli człowieka,—jeden dał mu duszę tę-

sknot i przeczuć nieziemskich pełną, pełną marzeń o zaświatach, ukochań jakichś promiennych, owianą czarem niewyraźnych czuć i wspomnień o kwietnych rajach,—drugi dał mu ciało, z ziemi wzięte, i do niej przykute, kazał w ponurej matni powszedniego dnia się szamotać, krwawo o chleba suchego kęs walczyć, kazał mu żyć i cierpieć, i konać.—

L'âme et le corps! Hélas! ils iront deux à deux
tans que le monde ira, pas à pas, cote à cote,
comme s'en vont les vers classiques et les boeufs...
l'un disant: „tu fais mal!“ et l'autre: „c'est ta
[faute“...

mówi Alfred de Musset.—Stara to zresztą bajka, choć zawsze jednako boląca. —

Splątanie, starcie, chaos. Odwieczna i nieskończona walka, walka rozlicznych pierwiastków, które się na isotę ludzką złożyły; walka o chleb powszedni; walka z temi nierozzerwalnymi bolącemi więzami, które duszę ludzką do ziemi przykuły, wtrąciły ją w otchłań ciemną, zimną, wilgotną otchłań, z której wyjścia nie masz; ciągle wzbijanie się na

szczyty niebosiężne, tak często po to jedynie, żeby z nich spaść i duszę o nagie, zimne cyple skał rozbijać, krwawiącym ścierwem karmić czarne trupiożerne ptaki bólu; ciągle szukanie dróg, któreby z otchłani wywieść mogły i natrafianie po drodze na strome nagie ściany,—oto jest życie człowiecze.—Takim było ono od początku, takim jest po dzień dzisiejszy,—a będzie?.. a cóż my wiedzieć możemy, jakie ono będzie...

A choć, niby wały morskie, co niestrucone na brzeg się wspinają, liżą go mokremi językami i znowu odchodzą wdół, choć, niby wały takie, idą pokolenia człowiecze, skrzwionemi palcami siłą się rozdrapać pierś skały Tajemnic, coraz odkruszają od niej żdźbła i głoszą wnet zwycięstwa niezwykle i głoszą postęp, i głoszą, że coraz lepszym jest bytowanie na ziemi,—to wszak niezmiennie dziś, jak przed tysiącami lat, pozostaje nierozwikłaną ta zagadka sfinksowa, nieodgadnioną ta przyczyna pierwsza, która człowiekowi istnieć kazała i w otchłani go wtrąciła, nieodnalezioną drogą, któraby z otchłani tej wywieść mogła na szczyty, tam, gdzie światło, gdzie ciepło, gdzie słońce...

To właśnie położenie bez wyjścia, ten stan opadnięcia na dno otchłani i rozpaczliwego poszukiwania za wyjściem, w połączeniu z tęsknotą do świętych, tajemnych rajów, których promienne odbłaski człowiek w duszy swojej nosi,—jest życia ludzkiego istotą, jest też jego fatalnością, tragizmem i straszną, piekielną, gryzącą ironią. Od chwili, kiedy myśl ludzka poczęła samą siebie uświadamiać, musiała stanąć oko w oko z tą właśnie zagadką, z tym bolącym, okrutnym faktem, że już w samym istnieniu człowieka tkwi ten nierozwikłany węzeł gordyjski, ta gnębiąca tajemnica, straszna, bo ciężkim brzemieniem gniotąca duszę, a nawet i ciało.—To też od samej niemal chwili istnienia rodzaju ludzkiego, stara się on w ten, lub ów sposób węzeł fatalny rozplątać, zagadkę rozwiązać, tajemnię wyjaśnić i ciągle już bezustanku szuka i szuka. —

I oto jest najistotniejsza treść życia — szukanie. —

Szukają wszyscy. Wszyscy ci, którzy umieją i mogą choć odrobinę czuć i myśleć; szukają ze wściekłą namiętnością i uporem ci wszyscy, którym życie na barki ciężkim po-

łożyło się brzemieniem; szukają z szaleństwem, ze strasznym bólem rozpacz, albo z olbrzymim wysiłkiem buntu ci, którzy dusze mają czucia niezwykle pełne, ci, którym hojniej uposażył Bóg dusze w pierwiastki odczuwania i miłości, którym najjaśniej niegdyś w przedżyciowym bycie świeciły promienie rajów mistycznych.—Szukają... tak, szukają, póki się im noga w niebezpiecznym przejściu nie pośliznie, albo z powietrzem dusznym w piersi trucizna się nie wsączy, co wyniszczy moc i wolę zabierze, a nim się stanie—szukają...

A na gruncie tego szukania rodzi się i buduje cała nauka, filozofia, sztuka i wszystkie świata całego religie.

Różnemi drogami kroczyło to szukanie. Człowiek pierwotny, ten urodzony artysta, tworzył bogów, duchów dobrych i złych legiony, kupczył z nimi, składał im całopalne ofiary, padał na twarz u stóp ich, modlił się i kajał i złorzeczył bogom swoim, jednym słowem stworzył religię w całej jej rozciągłości. Religia jest zatem najpierwotniejszym sposobem szukania. Czy też i najlepszym? o tem nie możemy wiedzieć, bo nie dano jest

nam wiedzieć, gdzie leży prawda, której szukamy, to tylko pewna, że bogowie głusi i nie-mi byli na korne człowiecze modlitwy, na hojne jego ofiary — i oto począł się rodzić przeciwko bogom bunt, nowych szukano dróg. Powstaje więc filozofia, całe gmachy dedukcyjnych wywodów takie jasne, takie logiczne, z zupełnie słusznych wyprowadzone przesłanek, wszystko tłumaczą, wszystko objaśnia—aż oto znowu stają bezsilne i nieme wobec prawiecznych zagadnień bytu, wobec niezłagalności życiowych wyroków; nie są w stanie dać człowiekowi nic, ani mu drogę wskazać, ani ciemnie wokoło rozproszyc, tak samo, jak nic, lub prawie nic dać nie mogli bogowie. —

Więc szukać dalej. Oto powstaje wiedza ścisła, nauka na doświadczeniu oparta, badająca istotę we funkcjach, w złudnej rzeczywistości zagłębiona, po odzieży niby pragnąca myśli człowieka poznawać, zabłąkana na powierzchni pośród miliardów nowych i nowych zjawisk świata, dumnie pragnąca za pomocą mechaniki lub chemii wyjaśnić zagadkę bytu, i sięga ta parweniuszka chudą, drżącą ręką, swoją po tajemnicze Mojżeszowe laski, co

wodom mórz rozkazywały, po moce proroków, co słońce wstrzymywali na niebie, ale czy ma prawo? jeśli ma, to nie więcej, niż ci, co przed nią szukali napróżno, bo i ona wszak napróżno szuka.—A jak mówi, zdaje się, Jakób Boehme, ludzie pierwotni mieli nad nami przewagę wiary, i twórczości, bliżsi przeto byli prawdy, niż my. Bo i rzeczywiście, mieli oni nad nami przewagę. Jakiś pierwotny bóg wartość w zastosowaniu miał taką niemal, jak nasze „prawo“, z tą jeno różnicą, że była to istota często zła, ale zawsze posiadająca takie lub inne uczucia, istota, która mogła słyszeć i wysłuchać, mogła wody w ich biegu i słońce w drodze jego wstrzymać, a nasze prawa są zimne, twarde, nieubłagane i same wobec siebie bezsilne.—A wiara, to wielka rzecz....

To samo szukanie dalej dało początek sztuce. Ona również jest jednym ze sposobów szukania, „odrębnym rodzajem poznania“, jak chce Schopenhauer.

Tak. Szuka człowieczeństwo, jak ślepcy Maeterlincka, i z równym skutkiem zapewne. Jako przed wiekami i dziś biedny Adam w próżnem szamotaniu się wije, kłęka, w modlitwie, składa ofiary, korzy się, to znów

bluźni; tworzy sytematy filozoficzne, zbiera faktów tysiące i chwiejne z nich wyprowadza wnioski, a wreszcie daje lękom, przeczuciom, tęsknotom i nadziejom swoim, bólam i żądom, szczęściu, i ukochaniu, wyraz w tem, co się sztuką nazywa.

A jeśliby trzeba już było koniecznie klasyfikować te sposoby szukania, to za podstawę można wziąć przewagę pierwiastku twórczego, w jednych w porównaniu z innymi. Sztuka więc i religia są twórcze, inne badawcze.—Pierwsze się w najgłębszych duszy tajniach rodzą i wytryskają z nich wprost ku niebu, dumne, wielkie, wspaniałe i pyszne, chcąc prosto w słońce ugodzić, a że nie zdolają tego uczynić, że nie odgadną bytu zagadki, więc sobie rozwiązanie jej stworzą, stworzą sobie praprzyczynę kierowniczą,—a inne błakają się powiązane granicami doświadczeń i możliwości, nie odnajdują wreszcie nic i nic nie tworzą. —

Dwoistość ta szukania opiera się oczywiście na dwoistości natury człowieczej, na dwoistości jego psychicznych władz. Stoi więc po jednej stronie rozum, badawcza myśl, — po drugiej to, co się nazywa czuciem, czy od-



czuwaniem i wola.—Powiada Tarde: (w wykładach swoich w College de France) „Dwoistość przenika wszystko: jest podstawą wszystkiego, co istnieje. Już od początku mamy dwa zasadniczo różne pojęcia czasu i przestrzeni, one leżą, jakby w osnowie bytu, a potem idą: materya i siła, organizm i życie, myśl i wola, wreszcie dalej jeszcze instytucje społeczne i historia. Tak wszystko rozpada się na dwójki, w których z jednej strony mamy potęgę bierną, z drugiej czynną, twórczą; a cała ta dwoistość da się sprowadzić do jednego zasadniczego podziału, tego, który ma miejsce w duszy ludzkiej, podziału na myśl i wolę“. Tak, taką bierną potęgą jest myśl, nie dlatego, ażeby miała być nieruchomą, martwą masą, ale, że wszystkiej pracy swojej ma za przedmiot i może mieć tylko to, co jest, to co w pewien już kształt zastygło, wola—to uosobienie właśnie przeciwnego zjawiska, bezkształtności, że się tak wyrażę, ruchu, tworzenia,—ona nie bada, idzie naprzód, w jarzmo swoje zaprzęga myśl bierną, chwyta wszystkie pozamyślowe, bezpośrednie odczucia duszy i z nich razem stara się ułożyć symboliczne, tajemnicze wyrazy, przepotężne zaklęcia, ażeby

przed niemi pękały zawory bajecznych sezmów, zawory, co od oczu człowieczych światło słońce zakrywają.

A więc?—Człowiek szuka, szuka rozumem, wgryza się myślą, jak czerw, we wszystko, co po drodze napotka, co poprzek mniemanej drogi jego leży, wgryza się, toczy, przejada—i męczy go ta praca, że należeć nic nie może, i buntuje się w nim Szatan, Lucyfer, odwieczny buntownik; „w tobie jest moc, mówi mu, chciej tylko, a stworzysz, chciej tylko, a uczynisz czyn i czynem tym roztrzaskasz ściany tajemnic“. A człowiek chce i czyni, je-no, że wola zbyt słaba, czy że ściany zbyt mocne, czyn jego tych ścian nie rozwała.

Lecz nie ustaje człowiek, bo ustać nie może, bo nazbyt gnębią go nierozwiązane bytu zagadki, gnębią i bolą, więc szukać musi, musi chcieć i musi czynić. A czynem takim jest sztuka.

„Poezyą nie są wiersze“, chociaż do dzisiaj większość tak mniema i długo jeszcze mniemać będzie. Ani też „sztuka dla sztuki“, bo nie może być czyn dla czynu, przemieniłby się w sport, w zabawę, przestałby być sobą;

mogli tak twierdzić ci, którzy w sztuce szukali „od czynu ucieczki”, zresztą i oni mieli swoją rację, i swoją rację mają ci, co w sztuce chcą znaleźć li tylko rozrywkę, każdy ma swoją rację dla siebie. Ale sztuka nie jest ani dla zabawy, ani dla sztuki, ani dla moralizowania, a jeśli ma na celu człowieka, to w tej samej mierze, w jakiej wszystko szukanie, każdy czyn. Przecie to takie jasne i proste, i jedyne, i takie stare. Czuł to doskonale Mickiewicz, kiedy wołał do Boga; „daj mi rząd dusz”; czuł to Słowacki, gdy mówił: „zostanie po mnie ta siła fatalna”... czuł to Krasiński, i Chopin, i Matejko, tak samo, jak dziś czuje Kasprowicz, i Żeromski, i Malczewski, a najsilniej może z nich wszystkich Wyspiański.

A czyż nie to samo było uczucie i w pieśniach Rig-Vedy, i psalmach Dawidowych, i w tragedii greckiej, i w tańcu z kwiatem wiśniowym Sady-Jakko.

W źródle, w rdzeniu każdego czynu leży zło, leży negacya; czyn każdy jest przede-

wszystkiem protestem, przeciw temu, co jest. Nienawiść jest źródłem czynu, należy nienawidzić zło, aby umiłować dobro w takiej mierze, żeby urodził się czyn. To wszystko prawdy, których objaśniać wszak nie potrzeba, a może prawda i to, że „nienawiść nie jest naszym najgorszym złem, że ona jedna zdoła, ... że na nienawiść trzeba się zdobyć”...

Oto przychodzi dusza na świat, przynosi ze sobą i w sobie całe olbrzymie obszary jakichś nieznanych tajemnic, przeznaczeń, przynosi uśpione moce, skamieniałe, nieme i zimne potęgi, władze, żądze, czyny wreszcie... Leżą one w głębinach duszy człowieczej, leżą uśpione, zaczarowane jakąś dziwną ręką, naznaczone jakąś formułą magiczną.—Życie ma to wszystko obudzić, rozpętać, odczarować,—czasami nie uczyni tego wcale i dusza, jak przyszła, tak odchodzi senna, czasami są zbudzone pojedyncze tylko potęgi, a kiedyś, czasem obudza się cała naraz dusza i przedziwną rozmaitością, złożonością, tajnią swojego życia oślepia i zadziwia. Czy tylko? nie! uśpione moce wyrrywają się nazewnątrz, skamieniałe czyny poczynają żyć, a życie ich znaczy się olbrzymiami zbrodniami Napoleo-

nów, albo cudami Mojżeszów, ogarnia świat przypowieściami Nauczyciela nazareńskiego, albo ginie gdzieś niesłyszane od nikogo, przekleństwem jakimś dotknięte, i tylko niewiadomo kiedy i dlaczego po wiekach, znowu się gdzieś budzi,—bywają takie tułacze czyny. Oto więc przyszła dusza, przyszła czysta, biała, malowana odbłaskami, tych zaświatów, skąd wzięła początek, przyszła i patrzy. Z trudnością oczy przedzierają się przez gęstą cieniów powłokę, oszałamia je, oślepia ten dziwny dokoła śmiertelny taniec życia, zlewają się w cieniu kształty rozmaite w jeden chaos poplątany i dziwny i mroczny. A dusza patrzy i patrzy, i przebija ciemności oczyma i widzi:

Oto na tronie złocistym siadła Krzywda, pani świata wszechwładna, oto rozpostarła, ramiona swoje nad światem i na dusze człowiecze błogosławieństwo karzące swoje zlewa; a wokół tronu kupią się sługi jej różnolienne, wiele ich, pyszne takie, piękne, bogate, zdobne, zda się, córki królewskie, zda się, szczęścia i dobra dawczynie, a one idą po ziemi w krąg i jak wampiry wgryzają się w piersi i dusze człowiecze, i ssą wszystko,

wysysają ostatnią kroplę krwi; i na ludzi pada straszny lęk, tłuką się, niby małe ptaszęta, więzione w klatce, miotają niemocne, aż w miotaniu tem zatracą siebie, zatracą duszę, zatracą wszystko, w ich piersiach zakłada królestwo swoje. Krzywda Pani, Krzywda, jedyna bogini, bytu kierownicza, i do jej tronu korni idą i głowy chylą, i modlą się: o Pani nasza, w opiekę twoją oddajemy życie nasze i losy nasze, o Pani wielka, bądź nam pomocną w czynach naszych, wyostrzaj sztylety nasze, abyśmy mogli zabijać braci naszych i zagarniać mienie ich; dawaj nam ciemności, aby nie poznano w nich dusz i zamiarów naszych, bo skrytobójstwem działać chcemy, a ono w ciemnościach najpewniejsze; ochraniaj losy nasze i żon, i dzieci naszych, abyśmy nie zginęli z rąk braci, a natomiast braci w nasze wydaj ręce, abyśmy ich zabić mogli, przykuć do kamienia młyńskiego, żeby obracali, a ciałami żon ich i córek karmić żądze nasze; daj nam moc i zwycięstwo, i szczęliwość, a my w ofierze niesiemy ci krew i pot mężów, wstyd żon i dziewic, łzy dzieci małych, co jeszcze w kolebce...

A Krzywda słucha i błogosławiące dłonie

wyciąga ponad światem, a świat do stóp jej bieży i ofiary wedle sił składa...

A 'dusza patrzy...

I przed oczyma jej suną się obrazy, suną i przechodzą, a za nimi idą nowe i nowe, straszne i ponure, malowane krwią i łzami, malowane jękiem i rozpaczą, a wszystkie mają jeden i ten sam temat nieśmiertelny: tryumf Krzywdy.

A 'dusza patrzy... i z tych obrazów płynie w nią jakaś kropelka jedna, druga, kroperek tyśiące, kroperek gorzkich, jak łzy sierot, palących, jak przekleństwo niewinnej ofiary, strasznych, jak srom dziecka. I rodzi się w duszy coś, czego nazwać nie można, poczynają drżeć uśpione władze, wstrząsa niemi jakiś dziwny dreszcz, przychodzi wreszcie rodzicielka czynu — nienawiść, przychodzi „godzina pogardy“.

Straszna godzina, kto jej nie przeżył, nigdy jej pojąć nie zdoła, i to jest może powód, dlaczego wielkie czyny, wielkie dzieła sztuki, ewentualnie, nigdy nie były, jak należy pojęte, ani odrazu, ani potem, kiedy już nowe, obce duchem pokolenia brały z nich tylko stronę zewnętrzną, przypadkową, nie czując i nie rozumiejąc ducha i bólu, który dane dzieło

stworzył, i to jest może przyczyna, dla której sztukę za nawskroś arystokratyczną, dla wybrańców tylko, dla tych, którzy ową godzinę straszną przeżyli, uważać poniekąd można; poniekąd, bo, jak każdy czyn, ma ona dalsze nieobliczalne następstwa i sięga dalej, niżli zrazu by zdawać się mogło, — zresztą, mniejsza...

Przychodzi więc straszna godzina pogardy. Zewsząd, z owych ponurych i krwawych życia obrazów, wychodzą życia potwory, smoki one drapieżne, wielkie, ciężkie, krwią opile, o strasznych kształtach węzowych, idą, suną, duszę chcą zgnieść, zabić ją, zniszczyć, zdławić... A dusza patrzy i pierwszy budzi się w niej lęk; widzi dusza ogrom zła, jego wszechpotęgę i swoją małość i niemoc, i staje bezsilna, przelekniona, i uciec by chciała, i niema ucieczki, — a potwory suną, patrzą jakimiś olbrzymiemi oczyma, zwiłają się węzowemi sploty, idą, pełzną... a z nimi idzie śmierć, zagłada i straszny ból, co pod czaszką w mózg się wgryza, — a dusza stoi bezsilna... Laokoon.

A potem budzi się pogarda. Więc cóż

jest człowiek, cóż świat, cóż życie, cóż ja? A potwory idą, a sił do walki niema jeszcze, tylko chciałaby dusza samą siebie wziąć i zdeptać nogami, i plwać w samą siebie, i mało jej męki, chciałaby jej więcej i więcej jeszcze, w bólu znajduje rozkosz,—czuje, że upada, i w upadku tym zapomnienia chce szukać, upaja się upadkiem swoim, i widzi go i wie, że powstrzymać nie może, i poczyną się śmiać, nie zdolna wówczas dusza nic więcej ze siebie wydobyć prócz śmiechu,—a że od tego śmiechu czasem wędną gdzieś białe kwiaty książących ogrodów, albo witraże gotyckie kościołów w proch się rozsypują, to trudno, to tylko śmiech... Biada duszom, które dalej poza śmiech pójść nie mogą...

Aż oto budzi się czyn... Jakiś dreszcz dziwny przenika duszę. Jak kiedy wicher-huragan piasek czy wodę w słup skręci i trąbą powietrzną niesie, a woda ona wstaje, pręży się, niebiosów sięga, straszną mocą waży się w sobie, mocuje, siły zbiera, a potem naraz pójdzie i niby zniszczenia duch przeleci i zgasi wszystko, co napotka po drodze,—tak wstaje czyn.—A lęk się kryje biedny, w najgłębsze duszy kryjówki, kona tam, a pogarda, niby

bicz, smaga obudzoną potęgę i zasnąć jej nie pozwala, a ona idzie...

Tutaj kończy się filozofia, kończy się rozumowanie, poczyną się tworzenia czas. I oto przychodzi czas walki. Życia potwory na zrodzonego Tytana się cisną, krwawymi błyskawicami oślepiają mu oczy, oddechem smrodliwym zarażają powietrze, truciznę starają się wszczepić mu w krew; przez chwilę zadrzą może, może się cofną, ustąpią i znowu walczą, a walka trwa nim... nim czyn nie roztrzaska zuchwałego łba gdzieś o tajemniczą skałę przeznaczeń,—może przytem i skała zadrzy, ale tyle już o nią rozbiło się czaszek, tyle już na niej krwi zakrzepło, a ona stoi i długo jeszcze stać będzie...

A i Tęsknota się zbudziła... Idzie ona biała, jak srebrny sen dziewczęcia, idzie ona nieśmiertelna i niezwykła, idzie ona, jak gwiazda-przewodniczka dla zbłąkanych na morzu żywota żeglarzów. Mistyczny cudowny kwiat na bojowisku wśród trupów, pośród krwi wylanej, pośród królestwa Krzywdy wykwiła, jak przedziwne zjawisko, jak legendowa dziewczica z kwiatu, budzi ją słońce wspomnień o rajach przedżyciowych, a czasem „ma ona

księżyc pod nogami i głowę węża miażdży, i koronę z gwiazd dwunastu u czoła jej obaczysz"... a czasem niema ona dla oka żadnych kształtów uchwytnych, tylko, jak biała woń lilij białych, idzie i dusze za sobą prowadzi, i mówi idź tam, a tam nie idź, czyń to, a tego nie czyń, miłuj to, a tamtego nienawidź... a czasem nic już o nienawiści nie mówi, tylko milcząca i święta, prosto w zorzę, w słońca płonące prowadzi...

A czyn stąd bywa dwojaki: w jednym przeważa protest, przeważa nienawiść — będzie to wówczas jakieś „dzieło zniszczenia równie wielkie i święte, jak dzieło tworzenia“, albo też będzie to erylne smaganie, coś, co stanie się razem „wyrzutem, chłostą i spowiedzią“. W drugim przeważa tęsknota, przeważa miłość, a wówczas będzie to budowanie kościołów nowych, wznoszenie nowych świątyń, malowanie jakichś cudownych wizyj przyszłości, przeszłości, albo wprost zaświatu, archanielska pieśń...

Jakie czynniki i w jakiej mierze składają się na to, żeby czynowi charakter, barwę dać,—nie wiem, zdaje mi się jednak, że jednym z głównych, z pierwszorzędnych, jest

ten ucisk, jaki życie na duszę tworzącą wywiera, jednym słowem, przewaga duszy nad życiem, czy też życia nad duszą, wyraża się w czynie tem, że tutaj dłoń jarzmo zrzuca, a tam po koronę sięga.—Rzecz prosta, nie może po koronę sięgać ten, kto ma ręce jeszcze w kajdanach, im więc bardziej gniecie życie, im krwawsza z życiem walka, tem silniej odgłos jej dźwięczy w akordzie pieśni bojowej człowieka, tem bardziej krwawo i ponuro ją barwi...

Chciałem mówić o sztuce polskiej w chwili obecnej; otóż chwila obecna jest właśnie doskonałym tego, co mówiłem, zobrazowaniem. Zawsze prześladowała człowieczeństwo ta sama żądza wydobycia się z matni, tylko nie zawsze może z taką jaskrawością rzucała się w oczy, jak to ma miejsce dzisiaj. „Był czas, jak chcą etnologowie, kiedy pojedyncza wola jednostki roztopiała się w woli jakiejś wyższej organizacyi, rodu, kiedy myślały i chciały tylko rody, tak dalece zgodną była wola wszystkich ich członków“. Może

to prawda, może rzeczywiście bieg dziejów prowadził ludzkość po drodze ciągłego rozdrabniania się i różniczkowania, a może tylko ta odległość czasu, która nas od tamtych walk i tamtego życia oddziela, zaciera z przed oczu pojedyncze choćby najjaskrawsze kontury i barwy i zlewa wszystko w jedną łączną całość. Bądź-co-bądź chwila obecna, ta, którą możemy widzieć zblizka, gdzie kontury zatrzeć się nie mogły i z całą krzyczącą jaskrawością rzucają się w oczy, gdzie wokół widzimy coraz nowych proroków, jak wstają, i krzyczą prawdy nowe i nikt ich nie słucha, lub bardzo niewiele, a ludzkość w otchłań upadła, a nad jej brzegiem biały zadumany stoi smutek... chwila obecna to obraz przedewszystkiem chaosu...

Tam dusze człowiecze, niby olbrzymie ptaki białe, skrzydła ku niebu wyprężają, tytanicznym lotem w niebo się rwą, tam ku wyżom, ku słońcu, oczy światła spragnione od ziemi odwracają i lecą wiedzione jakąś tęsknotą przeolbrzymią, jakimś ukochaniem z niebiosów poczętem, co piersi im rozsada, w wyż rwie, unosi... Tam idą dusze blade, jak zakonnice żałobnemi kirami odziane i cicho,

pokornie niosą krzyże swoje, idą wpatrzone w obrazy rajów, w duszy ich zrodzonych, wsłuchane w oddźwięki tych pieśni dziwnych, co w ich głębi się rodzą, idą ciche i korne, z wiarą i nadzieją lepszych dni na lepszym świecie... Tam z rozpaczą i zaciekłością gryzą wściekłemi zębami, okrwawionemi szczękami twarde, żelazne kraty swoich więzień; tam głową o skałę uderzają tajemnic, jakby rozsadzić ją chciały; tam się drapią po stromych ścianach, kalecząc i krwawiąc ciało swoje na zrębach skalistych; tam się łamią w bezsile; tam w szalonym pragnieniu i żądzy wołają za czynem, patrzą skąd przyjdzie on Meszasz-wyswobodziciel; tam plują z pogardą w duszę własną; a tam poddane losowi, zabaczywszy tęsknot i promiennego powołania swojego, idą, niby pokorne woły robocze spokojne, apatyczne, rozsądne—o! ci nie znają rozpacz i męczarni więzienia... A tam się spotkały dwa duchy w przeciwne podążając krańce, stanęły przeciw sobie, walczą ze sobą, obrzucają się jadem szyderstwa, przekleństwami, błotem, plwają na siebie... a Szatan się śmieje, albowiem on jeden wie, że:

Nędza jest wszędzie,
nędza w miłości i nędza w cierpieniu.

O tak! ten Szatan, ten Lucyfer, to jakiś
bardzo mądry i straszny duch, który wszystko
ko nawskroś przegląda, i wszystko wie...

A to jest synteza sztuki naszej...

Tam gdzieś, na popieliskach, pośród ka-
łuży krwi zakrzepłej, między wałami trupów,
nad bagnami podłości i grzechu, nad zgniłe-
mi jeziorami kwietyzmu i małości, wyrasta
już kwiat, przedziwny, mistyczny kwiat... Od
zórz jasných, od tęcz barwionych wziął on ko-
lorów swoich przepych, od wiatrów, co idą
przez rozkwiecione puszcze, łąki i sady na
wiosnę,—wziął woń przecudną, od dusz dzie-
wicznych, dusz miłości, wiary pełnych, niepo-
kalanych ziemi brudem dziewczęcych dusz,
wziął wiotkość swoją i kształty wyśnione; i
oto rośnie kwiat on, już rozkwita, już pięknie
barwione chwieją się kielichy, nad szarością
i skłębionym chaosem życia się chwieją; już
biała marzenna dziewczica ponad życia bojowi-
skiem powstała i płynie, „a miesiąc pod sto-
pami jej, a wkrąg głowy korona z gwiazd
dwunastu“. I w sercach człowieczych już się
przecucie jej rodzi, przecucie jakiegoś życia

nowego, i tego życia tęsknota, i wyciągają
już ku niej ludzkie dłonie spragnione i tęsknią,
i pragną, i chcieliby iść tam, gdzie ona po-
wiedzie. A ona płynie cicha, zadumana, z oczy-
ma gdzieś w słonecznych utkwionemi odda-
lach, płynie w jakieś zaczarowane świty, w
jakieś promieniste zorze, płynie, a za nią du-
sze ludzkie wślad dążyć już pragną. Oto już
poczynają się rozświećlać źrenice człowiecze,
widzą, dano jest im widzieć, ową tęsknotę
białą, a ona ich prowadzi. A wokoło tym-
czasem potwory życia się cisną, i nie mogą
dusze za Tęsknotą śladem iść, bo poprzek dro-
gi leży im ciężki, ospały, olbrzymi gad-kwie-
tyzm, bo tam posyła im swoje straszne błogo-
gosławieństwo Krzywda, bo wreszcie bracia
ich gdzieś ostrzą sztylety i kule leją, bo czu-
ją dusze małość swoją, i sił im brak, i wal-
czyć pragną; niespokojny drży w piersi ich
czyn, chciałby się wydrzeć, nastąpi już go-
dzina pogardy, za chwilę pocznie się walka...
I oto wstaje pierwszy czyn, już tęsknoty pe-
łen, nie może jeszcze naprzód iść, musi przód
życia złowrogie potęgi pokonać. Więc wstaje
pełen bólu i krzywdy, więc wstaje gorzki i bo-
lesny, węzowemi biczami Erynnij zbrojną ma

dłoń, smaga siebie i chce smagać świat, wysmagać zeń pragnie potęgę, moc, obudzić pragnie uśpiony duch, pędzić naprzód, prowadzić w słońce, czy w piekło, byle wprzód iść. Powstaje Jan Chrzciel, woła: „Przyłożon jest topór do pnia i będzie ścięte jałowe drzewo; miecz zemsty w rękę Pańskich; prostujcie ścieżki Boże!“ Tak woła „głos wołający na puszczy“.

Takim głosem, takim eryniowym biczem jest sztuka polska dziś. Z bólu rodzi się ona w straszną godzinę pogardy, kiedy przed oczyma duszy w długim szeregu przechodzą lata i wieki umarłe, przechodzą ludzie i czyny i zbrodnie dzisiejszego dnia. Idą one, jedne—pełne klnących okrzyków i przekleństw; inne nieme i ciche, jakby skamieniałe, zastygłe w bólu, co je żarł ongi, a teraz wyrzucem strasznym spogląda z oczu umarłych; inne ohydą swoją potworne, jak piekiel larwy; inne znów piękne i bohaterskie i tem więcej bolące, że bezcelowe, inne i inne... Orestesową męką szarpie się dusza... Straszna godzina pogardy... I poczyną dusza płakać i śmiać się, bluźnić i modli się korna, podnosi dłonie z przekleństwem, złorzeczy i biczów

szuka i skorpionów, żeby niemi samą siebie smagać i świat obudzić... bo świat, bo wszystko dokoła drzemie, śpi takim cudnie błogim snem najedzonego mopsa. I rozpoczyna się chłosta. „Gladius domini super terram cito et velociter“, topór przyłożon jest i drzewo jałowe będzie ścięte... woła „głos wołający na puszczy, prostujcie ścieżki Pańskie“. — I wszystko co jest, „święte i nietykalne“ wywleka się pod pręgierz, wszystko słuchać musi krwawego wyrzutu i znosić chłostę okrutną... a potem?

Oto już rodzi się gdzieś Pani dziwna i święta. Liethua biała, już tęsknota duszom niektórym dziwne o niej opowiada kazki, już rozpalają się gdzieś cudne świty promienne, ale dzień jeszcze nie nadszedł, nie nadeszło jeszcze królestwo miłości i dziś... może „nienawiść jest jeszcze naszym najlepszym“, i na nią „trzeba się zdobyć...“ może, a pewnem na dziś jest tylko to, że Szatan wciąż się śmieje i śmiać się ma prawo, bo zaprawdę: „nędza jest wszędzie“. — Możemy zresztą podobni do tego Montaigne'owskiego proboszcza, co, kiedy szalał nad wioską huragan, pewny był, że koniec świata nastaje. Może. To pewna tyl-

ko, że nad naszą wioską przeszedł już huragan, może to on, a może inne dawniejsze przyczyny, wytrąciły z orbit dusze nasze, dały im bieg od zwyczajnego odmienny... wiele się pewno złożyło sił na to, żeby dzisiejszy życiu naszemu dać kierunek, ale o nich mówić trudno. A jeśli przeceniamy rolę i znaczenie nasze i wioski naszej, to z drugiej strony wątpliwości nie ulega, że jesteśmy, jak ta „zagroda, co stanęła na wiatrowisku, gdzie się zbiegają z czterech stron świata zamiecie, chery, zawiewy i chachaice. Nawał wichrów siekł ją i prał, podwładał liche jej przyciesi, próbował wzruszyć węgły, pędził dokoła, kwicząc przeciągle, tłukł w nią stumilowemi skrzydłami i wszczepiał między belki żelazne swe pazury...” Jak ta chata jesteśmy, i próżno wyglądamy końca zamieci. Wszak nadejdzie on...

A tymczasem jesteśmy właśnie tam, gdzie słodkim snem zdrowego bydłęcia dusza spać już nie może, gdzie owe „chery, zawiewy i chachaice” rozbudziły wszystkie duszy uśpione moce, a one stają i oczyma ciężkimi patrzą na siebie i wokół i nie wiedzą jeszcze, co czynić należy, ale już sen się ich nie ima,

jedno czują, że trzeba wstać i iść. I wyrzucem staje przed oczyma to, co było, i chłostą smaga to, co jest, i nadeszła godzina pogardy...

Zresztą to wszystko słowa, zobaczymy na czym się one oparły.

Oto Jacka Malczewskiego portret własny: Studniany zrąb, jakaś omszała, tajemnicza, ciemna głąb', głąb' nieskończoności, głąb' tajemnic nieodgadnionych i nieprzejrzanych, bo wzrok ludzki posłany tam za gońca, jeno mgławce odbicie patrzącego człowieka i przedmiotów zewnętrznych przynosi; a po powierzchni wody pływają jesienią pożółkłe liście opadłe, liście, co niegdyś stroiły głowy drzew ku słońcu strzelających, wicher je porwał, chłód i wilgoć zabrały im barwę i oto leżą samotne, umarłe, na powierzchni tajemniczszej głębi. A nad zrębem stanął rycerz, zbroję pradziadów wdział, miast orlich skrzydeł do ramion poprzypinał ptaków jakichś pióra czarne, może pióra kruków trupiożerczych i śmiesznie ciemnieją te pióra rzadko ponasadzane, jakby na urągowisko, jakby bolesna karykatura tych skrzydeł orłowych, co je Król-Duch z drużyną do ramion swoich przypinał. Ci-

śnie do piersi rycerz ten krzyż złoty, oczy gdzieś w dal utkwiał zachwycone, nie widzi głębi, ciśnie krzyż, kopję bojową, jak do ataku pochylił: przysięga, przysięga, że walczyć pójdzie, że w walce nie ustanie, nie ustraszy go ten zrab omszały, ta nieznana głębia, co się przed nim rozciąga ciemna, straszna w swoim spokoju majestatycznym i ponurym, wiecznie ofiar głodna, chłonna te biedne pożółkłe liście umarłe, od rodzinnych oderwane gałęzi. On się jej nie lęka, on pójdzie naprzód wpatrzony rozwartymi oczyma w jakieś ukochania jasne, promienie, co się blaskami na czoło mu kładą. Za nim kędyś starzec siwy zrywa próżno kajdany, co mu się w ręce wrzynają, a tam faun jakiś gra na fletni piosenkę szyderczą, bo „on jeden wie, że nędza jest wszędzie, nędza w miłości i nędza w cierpieniu...”

Tam artysta, twórca, malarz siadł przed sztalugami, w duszy mu się marzą jakieś wizje przedziwne, jakieś obrazy, kształty i barwy takie olbrzymie, silne, piękne takie, że, gdyby je odtworzyć zdołał świat cały, stanąłby w zadumie i podziwieniu, odczułby, jeśli nie zrozumiał, bytu zagadkę, zobaczył jakieś raje świetlne, prawdy wiekuiste niezłomne, w

duszy jego zbudziłaby się święta ku rajom o-nym tęsknota, i szedłby ku nim mocny i silny, i wiary niewzruszonej pełen. Ale twórca ten, to biedny, mały nagi człowiek, opłątany sieciami ziemi Adam. Nad nim stoi straszna, okrutna zmora, potwór o głowie i piersiach kobiety, a całem ciele tygrysa, od delikatnych rączek z zaostrozonymi pazurami przechodzi do potężnego zadu zwierzęcia nabrzmiałego jakimś ciężarem strasznym, kto nie znał potwornych takich gniotących duszę zmor, ten nie rozumie obrazu. Na piersi człowieka biednej, chudej, nagiej piersi coś jakby krwi plama, krwi serdecznej, bólem wyciśniętej... O, nie! to tylko nieopatrznie dotknął piersi paletą i powalał farbą czerwoną... A oto inny obraz: ten starzec o pięknej siwej głowie, ten sam, który się tak często w obrazach Malczewskiego powtarza, ten sam, co w portrecie własnym kajdany z rąk zrywa, oto już dokoła dzieła, już jest wolny, rozerwał kajdany, ale snąć dużo kosztowały go pracy, bo oto siedzi na trumnie oparty, białej prostej trumnie, pogrzebał w niej wszystko, co go wiązało z życiem, co mu kazało kajdany rwać, co się tęsknotą wielką w jego duszy paliło,

wszystko tam pogrzebał, całą siłę, wszystkie ukochania, całą duszę swoją. A teraz przychodzi doń „Sława“, dziewczica piękna z wieńcem w dłoni; tak, zasłużył na wieniec laurowy ten starzec, lecz Sława przyszła zapóźno, bezsilnego, złamanego nad trumną go zastała, próżno się doń uśmiecha zalotnie, próżno stara się go pięknością swoją zwabić, olśnić tęczowych skrzydeł swoich blaskiem, on już nie widać jej, nad trumną się pochylił, na białych deskach głowę oparł i duma, a może już nie duma...

Tam „na cmentarzu“ śmieszne fauny zaglądają w świeżo wykopany grób, a wkoło tyle słońca i światła i wesela; tam „połów osobliwy“, przy rybaku siadła wodnica zła i na wędę nakłada przynętę, sztucznie zakłada, bo oto już słońce się chyli, od rana siedzi, rybitwa, nic nie zdołał pojmać. Dawniej malował Malczewski rzeczy prostsze, nie szukał symbolów nowych, malował: „śmierć Ellenai“, „w kopalniach“, „pochód na Sybir“ i t. p.—mało mu tego było, począł szukać nowych kształtów, coby straszny ból duszy, oną godzinę, okropną godzinę pogardy oddały, znalazł je. I wieje z obrazów jego, idzie,

w duszę się wżera ten jakiś chichot szatański faunów potwornych, piekielna ironia wychudłych, z wyskubanymi skrzydłami pegazów, tych wiar, nadziei i miłości, co na nie wyją psy, a życie łamie im najszczytniejsze loty; idzie z tych obrazów tęsknota jakaś, co się unosi z nad tych sadów, kwitnących „ojczystej zagrody“, z tych skowronczanych pieśni, co dzwonią cudne nad uchem człowieczem i w pierś wchodzą... ale cóż...

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy—
Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy
I hufiec boży,—

W tych słowach jest może cały Malczewski. I nie tylko Malczewski. Tam Ruszczyca „ziemia“, dwa woły ciągną pług, za pługiem człowiek, nad nimi skłębiony chaos ołowianych chmur, a ziemia pusta, skiby, skiby, skiby... siewcy nie widać. Tam „Wychodźcy“ idą w dzień jesienny, wśród szarości rozmiękłych pól. Tam Biegasa „Wielki Duch potężny“ dłonie na księdze położył tajemnic, wie on, że człowiek zdawna do księgi tej ręce wyciąga, ale to na próżno. On tej księgi ni człowiekowi, ni komu kolwiek nie odda, kurczowo

w nią palce wpił i strzeże, a gdyby... a gdyby, jak to już kiedyś uczynił, człowiek mu tę księgę ukradł,—to On go ognistymi mieczami zmoże, to nowym potopem plemię człowiecze wyniszczy.

Premium Krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych,—obraz Ruszczyca i Kasprowicza wiersz, razem—wydaje mi się to charakterystycznym. Jest więc jakaś, co wiąże te dwie sztuki gałęzie, a jest nią to źródło wspólne, to słońce wspólne, koło którego wytracone dusze człowiecze krążą, wspólną jest ta pogardy godzina i ta rodząca się już błękitno-biała tęsknota.

Nie chciał Kasprowicz „trubadurem być, u pańskich, u bankierskich stawać bram, łaskotliwie pisać ballady, za kwiat róży z białej ręki strojnych dam od gorących łon odpięty“, rwał się do bojów życia, tam, gdzie „krwawej chusty znak powiewa lub się wznosi czarny krzyż“, chciał iść tam, gdzie „królewski dumny ptak, na turniach uwił tron, skrzęsanych ręką burzy“, duszy swojej za nim lecieć kazał wślad, aż ujrzał, jak „po śniegów runi świeżej popłynął krwawy źródło“, zobaczył, że to orzeł

z wyżyn spadł i wpił się w kark kozicy“, że „ten obłoków król, słonecznych pan przestworzy, żyje jak zwykły zbój i z mordu, i z grabieży...“ Pamiętam, jakim bolącym zgrzytem wpadł w rozpalone krwawymi widmami dusze nasze, wiersz Kasprowicza: „Byłeś mi niegdyś bożyszczem, o tłumie, wiara mą trawił twój żołądek wraży...“ Ale otrząsnął się z tej wiary, kopnął nogą bezduszne bożyszcze i niby nowy Jan Chrzciciel, Savonarola, czy Skarga poczał „Ginącemu Światu“ enmenidowych różg pękiem grozić, chłostać świat i duszę własną. Wchłania on w tę swoją duszę cały świat, jego zbrodnie i kary, na ramiona bierze ciężki krzyż nieszczęść, grzechów i okrutnych kar za nie i oto idzie tęsknota jego, „na barkach ciężki dźwigająca krzyż“, idzie do Boga, żeby u stóp Jego klękać, o zmiłowanie nad światem biednym błagać, spowiedź straszną czynić, grzechy swoje wyznawać, lub w goryczy i bólu pełnych krzykach krzywdę Mu swoją wyrzucać.

Karz mię! (woła):

bom ci ja człowiek, który wyszedł z grzechu,

i prześladowan był przez grzech do końca.

Bo oto moja nieprawość

przeszła granice Panie Twych zamiarów!..

Ojcam się wyparł... Matkęm wypędził z domu, by nie jadła strawy, porwanej większym niż ja tchórzom... Zabiłem brata... Uwiodłem żonę przyjaciela... Pod próg sąsiada kazałem podrzucić dziecko, zrodzone z mego rozbestwienia... Pani Pana tam zabiła... Psa, który zaszedł mi drogę i z głodu zęby wyszczerzył i miłosiernie wlepił we mnie ślepie, kopnąłem nogą... Za grosz kupionej rozpuście dałem się wlec po kałużach... Robakam zdeptał...

Po każdym wyznaniu w piersi się bije:

moja to wina, moja wielka wina!...

I prosi Boga o karę najsroższą, to znów kornie o litość błaga, modli się:

Nie karz mię Boże według moich zbrodni
w tej gniewu twego straszliwej godzinie,
świat niech się kaja, lecz niechaj nie ginie...
wielka jest moc twa i wielka potęga,
lecz czyjaż dobroć twej dobroci sięga...

I w tem roztopieniu, w tem przedziwnem
wchłonięciu w siebie duszy świata, olbrzymieje
duch poety, do nadzwyczajnej wyrasta potęgi,
czuje się tak wielki, że Boga wyzywa, by
przyszedł doń, by pomógł krzyż mu dźwigać,

bo przecież on człowiek słaby pomagał jemu,
Bogu krzyż na Golgotę nieść. Czyż Bóg nie
zejdzie, nie zejmie krzyża z ramion, korony
z czoła cierniowej nie podniesie ku sobie, ku
światłu, ku szczęściu, ku słońcu.

I wyciąga ręce błagalne: Salve Regina!

Lecz próżno szuka, woła, rozpacza i błaga,
i klnie, Bóg nie schodzi, jeno mu duszę
szarpie szyderczy śmiech Szatańa, który „je-
den wie, że nędza jest wszędzie...”

Śmiej się!...

A moja tęsknota,
na barkach ciężki dźwigająca krzyż,
otwiera usta, by wraz z tęsknotą świata
zaśpiewać hymn przenajświętszy:
Salve Regina!

I cała twórczość Kasprowicza to nagi, bez-
pośredni, bólem olbrzymim wyciśnięty, bólem
wszechświata, krzyk duszy; wytryska on
wprost ku niebu, bije niepowstrzymany, wście-
kły, przebija chmur czarną posowę do tronu
Boga, co nad gwiazdami niemy i zadumany
siadł i krwawymi głoskami piorunów kreśli
wyroki straszne, złowieszcze.... to znowu opa-
da wdół ten krzyk niewysłuchany, w mroczną
głębię grzechu i piekiel, gdzie szyderczo

śmieje się, Szatan, Dusza wygnana z raju, w lubieżne tego Lucyfera garnie się objęcia, to znów konającemu na krzyżu Chrystusowi ten sam Lucyfer straszne słowa wyrzutu w twarz rzuca... ale znowu podnosi się dusza, woła: Salve Regina! mimo wszystko... Ku końcowi się ma godzina pogardy, tęsknota wstała już, ciężki krzyż przygniata ją jeszcze, rwie się naprzód niewstrzymana...

W odmiennej nieco, lecz niemniej pewno bolącej męczarni wije się dusza Przybyszewskiego. W „Dzieciach Szatana“ staje on do walki z krzywdą, która nad światem władzę straszną rozpościera. Krzywda ta,—nierozłączna istnienia człowieczego właściwość tak mocno z niem związana, że po to, aby ją zniszczyć, trzeba świat cały zniszczyć, w perz obrócić, żeby kamień na kamieniu nie pozostał; ludzą się tylko próżno ci, którzy chcą świat poprawić, przerobić,—w samym jego początku, w samej istocie jego tkwi błąd i zapóźno już go naprawiać, jedyna droga, to zniszczenie zupełne, doszczętne zniszczenie bez myśli o tem, czy na gruzach, na rumowiskach starego świata stanie nowe życie, nowy byt, czy też nic na nich nie wzrośnie. A wszyscy

ci, którym życie ciężkim brzemieniem na ramiona legło, wszyscy zrozpaczeni, zawiedzeni, ci, którzy ku słońcu lecieć pragnęli i opadli, ci, co ich życie złamało,—to zastęp, legia wojnę krzywdzie, światu, istnieniu niosąca, a wielu jest ich o wielu...

Dla Przybyszewskiego problemat istnienia, streszcza się może w tych słowach z „Dies Irae“ Kasprowicza:

Zakryj błędne źrenice ścigany Adamie,
nad tobą tam u szczytu
złocistowłosa Ewa,
jej grzechu ciężar zgniótl cię, stanąłeś
[wpół drogi,
zakryj błędne źrenice i na wieki wieków
rzuć się w przepastny żleb!

Jest jakaś fatalność, zemsta Krzywdy, co duszom ludzkim pokoju nie daje, co czoła niewinne, nawet za ojców i matek grzechy krwawym palcem znaczy i niema wyjścia. Wraca to ciągle u Przybyszewskiego, czy kiedy w „Nad morzem“ porzuca potężny jakiś król matkę swoją i Boga swego Słońce dla białej niewolnicy, czy kiedy się stara Przybyszewski istotę twórczości Muncha lub Wielgelandy objaśnić, czy w obrazie walczących o

samicę jeleni, jak ciągły refren w „Homo Sapiens”. Ciągłe i wszędzie. W szaty kazirodziej zbrodni zdobi się w „De profundis”, to znów olbrzymieje, jaśnieje, przystraja się w barwy precudne „w godzinie cudu”.

Przybyszewski jest nawskroś antropomorfistą, jak człowiek pierwotny, świat widzi na męską i żeńską połowę podzielony, ciągłą walkę tych pierwiastków wrogich widzi, — a wyjście?—to zlanie tych dwu sił w jedną: On—Ona, Ja—Ty, androgyne—„Do Ciebie, Pani wyciągam ręce w zbożnej pokorze, i proszę, błagam, nie opuszczaj mnie! Kocham Cię, Pani, w krzyż rozciągnięty tarzam się przed tobą, stopy twe całuję i w krzyku uniesienia wołam: Zawitaj gwiazdo poranna!”...

A nim się stanie cud, nim Androgyne wyniesiona nad światem zawładnie, dziś walczą ze sobą te dwie potęgi, potęga Adama, który pragnień pełen w zaświaty się rwie i potęga Ewy, co z gadziną grzechu u swych białych stóp siedzi i patrzy na nędzę i upadek, i do tej nędzy, i do tego upadku prowadzi. W walce tej jest cały Przybyszewski, piękno jej znać na Kasproviczu, zgrzyta ona nutą

bolesną i u Żeromskiego. Ale świat Żeromskiego jest zbyt rozległy, żeby się mógł zaklepić w tej walce tylko; Aryman ze swoją zemstą, cały szereg lwic podziwiających u mężczyzny przedewszystkiem „largeure en pantalon”, jest dla niego epizodem tylko, epizodem przemijającym, choć dość silnym, a oto dalej roztaczają się olbrzymie pola walk i klęsk, i bólów, człowieczeństwa, czasem, niby złocisty promień słoneczny, niby zbłąkana gwiazda promienna, zaświeci cudna pieśń upojenia, pieśń szczęścia, niesłychany, bajeczny sen o szczęściu: „Do dnia, w pogodne czasy, szli w góry... Na wyniosłych wierzchołkach, gdzie żywej istoty nie było nigdzie, jak daleko i szeroko sięgną oczy, obejmowali się wpół i zapadali w głuchy sen, albo splótszy się, na wzór dwu limb zrosłych od lat, szli oczyma po niezmierzonych obszarach niebios i ziemi. Strudzenie wydzierało z ciał ludzką namiętność. Przystępowali wówczas do rozkoszy najwyższych. ...Wtedy przedziwne pragnienia wznosiły się z ich serc, podobnie, jak z nicości wstają w szczelinach granitu błędne chmury, pożądania, które idą coraz wyżej, i widzą przed sobą obszary niedosięgte. Cza-

su jednej z takich minut wyszeptać: Umrzyjmy już...”

I dalej brzmi ta przecudna pieśń miłości, promienna taka, niezgłębiona, jakimś przedziwnym upojeniem święta... Ale to tylko sen święty, to bajka cudna, za chwilę on patrzeć będzie, jak ona padnie, wzięta przemocą, jak będzie jej ciałem żądze swoje zbier sycił...

Siła jakaś fatalna, siła zła wisi nad człowiekiem, jakieś przekleństwo. Siłacze i „Siłaczki” muszą lec zmożeni, próżno walkę przeciw przemocnej potędze niosą, wisi ona niby ołowiana, gromów pełna chmura, nad ziemią, a czasem wybiegnie grom, dziwny, cichy, zabójczy grot, powali, zabije. A wokół ściele się ponura ziemia mogił i krzyżów, polana krwią tych serc, rozdartych, jak serce Joasi, lub przestrzelonych, jak Korzeckiego, potem Raduskich, Judymów, Janków, Maurycych, i wielu, wielu innych; użyżniona tysiącami ofiar... Żeromski kocha, jak nikt, tę ziemię. Kocha jej brzozy płaczące, jej świerki strzeliste, jej rozłożyste dęby i buczki czerwone na reglach, kocha śnieżne szczyty Tatr i płaszczysty Mazowsza, kocha rozmiękle jesienią ugory szare, i kiszące trzęsawiska, kocha pta-

ki i zwierzęta, kocha ludzi: Michcików, chłopów, bitych od wieka, Korzeckich i Gintułów, co pod zniszczoną powłoką ciała mają dusze, jak śniegi na wierzchach białe, jak tonie jeziorne głębokie, kocha te rozpalone serca i głowy wpatrzone w marzenne sny przyszłości, kocha miłością wielką; a że nad tem wszystkim wisi ból, że jakaś przedziwna moc Krzywdy wsiąkła pomiędzy to wszystko, zabagniła całe to życie, krwawem poznała piętnem potępienia wszystkie te piękne i potężne duchy, więc...

„Ty jeden cierpisz nad wszystkimi obiektami, jakie oczy widziały? Ciebie jednego budzi żal nocami? Ech, bracie! Ja się to samo przypatrzył przez krwawe łyżę wszystkiemu”... mówi do Gintuła Dąbrowski.... „Ale moja dusza nie do żalu destynowana, moje oczy nie do łez. Wszystko w sobie trza zaprzeć na zamki, na klucze... Niema już dobrej woli. Bóg dał, Bóg wziął. Wybij to sobie z głowy. teraz praca na śmierć. Wszystko od samego początku zaczniesz i udźwigniesz ciężar dzieśięciokrotny! Ile krwi, męki, trudu, sławy, wsiąknie w obce pola—któż to odgadnie? Ale zostanie reszta. Ze wszystkich rozstajnych

dróg jakaś jedna będzie prowadziła!.. Żyłby pękać będą, krew z za pazurów tryśnie, ale to darmo. Iść trzeba wiekuistym pochodem. Trza w karach odrobić wszystko „i w mękach wyznaczyć wielkiego ducha...”

A Sułkowski uczy się u Napoleona sztuki zwyciężania, przez pamięć „o tej hańbie, co mu kopytami zmiażdżyła duszę”. „Jeślibym miał siedzieć beczynn timer, pracować dla siebie, dla jakiejś ambicyjki, rodziny, familii, wsi, powiatu, uczyć się dla samej nauki, nie dla spełnienia czynu, wielkiego czynu, czynu-sko ku ludzkości, to zabij mnie, jak nędznego psa” — woła Sułkowski, — a Gintułt słucha i myśli: przez okradanie Wenecyi i nietylko Wenecyi z jej świętości, przez strzelanie do bezbron nego ludu, przez grzech i krzywdę idą, czy dojdą. i na ustach gra mu ironiczny uśmiech niewiary. Potem Sułkowski ginie w Egipcie, austriacki żołdak kuje po mordach „zbiegów z armii”, bohaterskie zastępy Polaków, po kapitulacyi Mantui i t. d., i t. d. Krzywda, Krzywda, Krzywda. Straszna godzina, godzina krzywdy i bólu, godzina rozpacz i pogardy. Oto „usunęła się zaraz przed wewnętrznem okiem duszy ściana domowa naksztalt

kotary, a za nią widać było nicość, nędzę i śmieszną trywialność poświęcenia. Któż jest, ktoby odróżnił drzewo czerpiące soki ze dżdżu, od drzewa wyhodowanego ze krwi?”

Tam znów kochanek patrzył, jak mu zbezczeszczono umiłowaną, jak uciekając od hańby, spadła z wysokiej krzesanicy; skarży się strasznym serca płaczem i jękiem, woła do gór niemych i drzew, i słońca, i nieba, co świadkami minionego szczęścia były, a razem „gdy te westchnienia wyrwały się z piersi, uczuł w sercu i w mózgu, że go nie słyszy nikt inie”. I cóż pozostało po takiej godzinie? Oto: „chwycił rękojeść noża i poszedł przed siebie mocnym, wyteżonym krokiem krokiem-czynem.” — Dokąd i po co? Przedewszystkiem szukać zemsty, a potem? potem, niewiadomo co będzie...

Bohaterowie Berentowskiego „Próchna”, od początku do końca żyją w takiej godzinie pogardy, podsycanej ciąglą analizą dusz własnych, kończącą się w najlepszym razie plwaniem w te dusze. Miotają się oni w otchłani grzechu, występku, zbrodni, a przedewszystkiem małej podłości i systematycznego, powolnego gnica, miotają się bez wyjścia, bo

wszak wyjściem nie jest jeszcze Budda, a może, może i to wyjście...

Pomijam cały szereg innych ludzi, u których łatwo te same zagadnienia i podobne rozwiązania się nachodzą; ale oto człowiek, którego pominąć nie można — Wyspiański — „Wyzwolenie“, — tyle już o nim pisano, mówiono, doprawdy, aż dziw, lecz mało kto pojął o co chodzi, i ja może się mylę... Wyzwolenie,“ jest, jak mówi muza: „wyrzutem, chłostą i spowiedzią“, i jest tem wszystkim naprawdę. Oto przychodzi Konrad, „z piekła, czyli z raju“, przychodzi i patrzy na „Polskę dzisiejszą“, przed oczyma jego przechodzą oto grupy ludzi rozmaitych, stronnictwa, polityczne, kółka, kółeczka, wreszcie ludzie pojedynczy; stawiają mu pytania, poddają mu myśli, chcą oszołomić brzmieniem frazesów pustych, a Konrad patrzy i przeżywa godzinę pogardy, dłoń, co się z kłamaną pomocą ku niemu wyciąga, odtrąca, szydzi i drwi ze wszystkiego dokoła i z siebie samego, ze swoich świętości i ukochań, tęsknota oczom się jego jawi: matka z dzieckiem w kolebce zżęty zbożny łan, pochodnia z rąk Hestyi, a tymczasem męka żywota, męka tego, co

widzi, dokoła żre go i trawi, Orestesowa męka, bo on nie może widzem tylko być, on sam duszą wżywa się w te wszystkie grzechy i kary, zbrodnie i rozpacz, winy sam wszystkie chce nieść, za miliony kocha i za miliony cierpi katusze... Ale to teatr tylko, to wszystko udane, czyn jest tu tylko gestem, a wszystko polega na wypowiedzeniu... Ludzie mają swoje codziennego dnia zabiegi, bardzo, a bardzo małe i plugawe, a Konrad? — Konrada Erynniowe bicze chłoszczą, za co? na siebie mękę wszystkich wziął, — sam się stał Erynni-sem, za chwilę wyjdzie straszny, ślepy, z okrwawionemi oczodołami i na czele orszaku enmenid pójdzie dusze zatyle chłostać, budzić uśpione, rozpętywać czyny, wycinać jałowe pnie, zasiewać może nowe ziarno, — ale teatr zamknięty, kto go otworzy? kiedy? dziś Wyzwolenia jeszcze niema... Jak w „Zatopionym dzwonie“: „idzie słońce — noc, jest długa“. Długa i pełna męczarni, ale przeżyć ją trzeba, nim słońce przyjdzie; i miota się Konrad-Erynnis, chciałby lecieć na czyn, na żer, chciałby dusze smagać i chłostać, a tego nawet uczynić nie może, strasznie już grubo obrosły te dusze człowiecze.

Tam „Kazimierz Wielki“ z nad brzegów rzeki zapomnienia, przywołany ludu swego jękiem. wraca i patrzy, jak lud ten się w pyłach przeszłości grzebie, jak walczy pod dawnych, dziś już spłowiałych i postrzępionych sztandarów osłoną, jak ginie wśród śniegów sybirnych tysiącami ten lud nieszczęśliwy, jak się miota rozpacznie wśród bezdroża, wśród tej matni, w którą go los wtrącił. W „Legionie“ już jednostka przestaje być jednostką, staje się ideą, naród przestaje być narodem, zlewa się z całą ludzkością w jedno. Niema dla Wyspiańskiego w tym dramacie-czynie żadnych więzów, idzie on ponad czasem i przestrzenią, idzie, wpatrzony tylko w duszę swoją, i w piękno nieśmiertelne, przenikniony bólem olbrzymim nawskroś.

Tam u stóp tronu papieskiego Matka Maryna katom swoim w oczy krzywdy swoje rzuca; tam tłumy chłopów, bohaterów galicyjskiej rzezi, idą za zwodniczą dziewczką-fortuną, a ona im krużę podaje, a w krużach tych krew, krew, krew; tam Mickiewicz przedzierga się w Brutusa, żeby umiłowanemu Cesarowi-Napoleonowi wrazić w pierś sztylet zbrodniczy, u kół rydwanu jego przykutą

uwolnić Swobodę, a Swoboda ta wolna, nie-skrępowana, tak upragniona i umiłowana, siada na zbrojny kosami wóz i pędzi, i trątuje, i morduje ten tłum, co w niej chciał panią i wybawicielkę swoją widzieć; tam u-ciemnionemu Słowian i Litwinów ludowi jawią się w świątyni Św. Piotra ich patronowie: głoszący męki swoje święty Andrzej i król Mendog, wielki buntowniczy król, co w tysiąc koni w kopule świątyni na gzymsie stawą; tam polski święty—Mickiewicz, prorok, łamie chleb z uczniami, a tam przez morze trupów pełne prowadzi. — Czarna otchłań, wody piekielne, na nich nawa, wiosłarze, którzy przez wszystko i mimo wszystko płynąć przysięgli, do wiosła przykuci posuwają nawę wśród mroku, krwawą tylko w rękę sternika pochodnią rozświetlonego. Lecz oto poczynają się buntować; tam wody unoszą ciała ich braci i ojców, kochanek, tam matka jednego z nich konająca czepia się wiosła, o ratunek woła, chwila.—a czarne pochłoną ją fale, tam żona, tam dzieci maleńkie,—i pośród tych ciał, tych trupów i tych żywych jeszcze muszą wiosłarze naprzód i naprzód płynąć, po toni nieznanej i groźnej, do brzegów równie ta-

jemnych i kto wie, czy jasnych, słonecznych... zlorzeczą sternikowi, co ich na takie wwiódł bezdroża, odmęty, buntownicze przeciw niemu wznoszą pięście, a on, widząc, że już nie masz ratunku, sam nawę podpala...

Tak samo kończy Kazimierz Wielki kowalany młotem, druzgocząc pracę dzieci swoich. Ta sama tylko w formie piekielnego szyderstwa nuta brzmi w „Weselu“, kiedy zebrany z kosami i bronią wszelką tłum naraz w taniec idzie, a chochoł na malowaną skrzynię wlaźł, na gęśliczkach przygrywa, a przyspiewuje:

Miałeś chanie złoty róg...

Ostał ci się ino sznur...

To samo w Warszawiance, gdzie pokrważona wstążka z piersi zabitego kochanka, oplątywa palce grającej, a ona gra, a wojsko powtarza: kto zwycięży, wolnym będzie, kto poleże wolny już!“ I wreszcie w „Wyzwoleniu“. Całe „Wyzwolenie“ jest jedną wielką, ropiącą, nabrzmiałą raną. Jest ono, jak te pieśni Tyrteuszowe, męką jest i krwią, i czynem,—i świadomością niemocy; straszna to pieśń, co staje przed oczyma człowieka, jak widmo spełnionej zbrodni i dusza ucieka,

jak złodziej nocny, czai się, chce się ukryć, a wszędzie już za nim pójdzie ten straszny duch, do trzew mu ręką sięgnie i zatarga, straszni biczami sieć go będzie... piekło! męka! strasliwa godzina, gdzie człowiek w duszę własną pluje. Oczywiście, nie dla tych, co śpią słodkim snem“ fabrykanta-niemca przy żonie-niemce,“ ani dla tych, co widzą w poezji sztukę, literaturę, wiersze, „ucieczkę od czynu“, bo ta poezja, to nie ucieczka, to sam czyn właśnie. Między tłumem kontuszowych i siermiężnych, księży, kardynałów i demagogów, przechadza się geniusz taki, jakim go tłum pojmuję, z brązu, odlany z brązową twarzą, z śmiesznym wieńcem na czole.—Karykatura—przechadza się i budzi w tym tłumie jakieś mętne przecucie, spełnionych grzechów wyrzuty; a prototyp tego geniusza—Konrad, zabrawszy w siebie wszystkie grzechy, wszystkie wyrzuty i bóle narodu, miota się rozpaczny, chce iskry budzić, ogień pożarne rozpalać,—próżno, wszyscy idą do domu, on miota się w zamkniętej przestrzeni,... na czyn! na czyn! woła, wrota zaparte głucho dźwięczą pod uderzeniami, ale nie ustępują, mocne są te wrota, broniące do za-

tęchłych dusz ludzkich dostępu,—i miota się Konrad ślepy, bóle mu oczy wyżarły, już sam stał się tylko narodu swego grzechem i wyrzutem... Mówią, że Wyspiański romantyków „kopnął“, mnie się zdaje, że to była tylko „godzina pogardy“, i nie tknął on romantyków, tylko siebie i naród swój, i „Polskę dzisiejszą“ chłostał. Chłostał, żeby ją zbudzić i wieść—wieść... do czego?... otóż to... do czego?... Nie wiem. Tam pono już się budzi jakaś promiennych snów królowa, jakaś przeświata pani, dziewica z kwiatu, tęsknota srebrna, błękitno-biała, budzi się i płynie ponad ziemią, jak sen, jak marzenie, z dusz ludzkich snuje jakieś barwiste przedziwo, tkaninę z niego układa precudną i rzuca, i rozwiesza przed oczyma dziwne obrazy promienne, jak słońce samo... O przyjdź, wyśniona królowo, przyjdź, na dusze nasze promienistą przedzę rzucić i prowadź nas, prowadź, bo oto zbłąkani miotamy się w niewiedzy i niemocy, a kędy kroki nasze zwrócimy, wokrag stają olbrzymie, kamieniste zręby i nie masz wyjścia...

Ale próżno wołać, nad światem władnie straszny, mściwy Jahveh, panuje zła fatal-

ność, rządzi Krzywda i niby ciężki całun grobowy rozpościera się małość, wielka cisza dusz, coś, niby spokój zgniłych bajerek, coś, niby zatechłe trzęsawisko, już nawet trudno wiedzieć, czy jest tam jakie życie na dnie.—A ponad wszystkim jest „On, oznaczający wszystko“, ale „któż o Nim wie, skąd powstał i czym jest, któż go pozna?“ A tymczasem miota się dusza wśród tych bajerek cuchnących, wśród „ziewających cnót“, powszednich uciech, małych grzechów, dobrych, pocziwych dusz... „Kocham was, woła Orkan, jak ten orzeł kocha drób skrzydlaty“, nim wybierze najprostszy szlak, żeby spaść i rozszarpać... Rozszarpie i potem cóż?...

Mówią, że kędyś zorza się rumieni...

1903 r.



DRAMAT WOLI.

(Przyczynek do psychologii dramatu polskiego.)

A więc mamy dziś swój polski teatr.

I czemuż znowu jest on, czem się różni od innych, od Sofoklesa i Szekspira, Calderona i misterjów?

Ludzie żyją i żyją narody, i ludzkość, jeżeli wogóle ludzkość całością jest jedną. A życia tego obrazem i dowodem jest czyn. A czynu tego źródłem i tęsknotą jest dusza człowieka, jest myśl jego, jest on sam. A dramat ma być obrazem czynu.

Stoi więc ten, który ma czynić: człowiek, społeczeństwo, naród, ludzkość,—stoi wobec życia, zbiera moce swej duszy, „jak nabój w burzące działo“, po to, by wystrzelić przeciwko całej naturze, przeciwko życiu. Bo ostatecznie walka z życiem jest każdego czynu istotą.

A przeciw staje życie. Greckie Fatum, Ananke, niezblagana moc przeciwności, brat człowiek z duszą złą i czarną, ze swojemi ce-

lami i swoim czynem, on sam ze swoją niemocą, i lękiem, i przekleństwem tajemnym, co się wkrąg jego rąk kajdanem owija.

I walka.

A czy to będzie Słowacki, czy Ibsen, walka będzie, walka ta sama, więc gdzie jest miejsce na t. zw. teatr narodowy?

Nie wierzy już dziś nikt w posłannictwa dziejowe i w stałe jednolite typy narodów, narody to tylko taki, lub inny, kontuszowy, czy rycerski, klasyczny, czy szaro-spółczesny sztafaż, scenerya, dekoracya, istota sztuki ta sama.

A jednak może są różnice.

Oto smutny pesymista Grek, ucieka bez końca przed swoim przeznaczeniem, miota się w zaklętem kole nieznanych sił, zależny jest od nich, i kłoni przed nimi głowę, wyzywa do walki i pada, czepia się ołtarzów, a erynnie za nim iść będą i muszą bez ustanku.

Oto egzaltowany chrześcianin opowiada dzieje męki Zbawiciela, opowiada i rozrzuca się i egzaltuje coraz bardziej, łyże mu się z oczu cisną i w płaczu tym znajduje rozkosz samoudręczenia, rozkosz rozdrapywania palącej rany i patrzy na Chrystusowe

męki i w ich obrazie, w ich kontemplacji znajduje ukojenie.

Oto skandynawski grek, nie z przeznaczeniem, ale z samym sobą walczy bezowocnie, nie z życiem, danem od bogów, ale z życiem przez siebie samego stworzonym, z własnym swoim grzechem, który się przeciw niemu uzbraja.

A różnice te, to zapewne wypadkowe szeregu wielu przyczyn i skutków, to zapewne odbicie wielu przemijających, mniej lub więcej ważnych, czy drobnych, zjawisk i zdarzeń w nieśmiertelnem, jedynem zwierciadle sztuki.

Bo, zapewne, nie można powiedzieć: sztuka-absolut, jak nie można mówić: sztuka-gazeta.

W narodzie i w życiu tkwią artyści korzenie, a że czoło kąpie w słońcu, to wszak soki z ziemi czerpie. Człowiekiem jest i jako człowiek pełni na swój sposób swoją ludzką czynność—tworzenia przyszłości.

Więc siły te wszystkie, co stworzyły naród, tworzą i jego sztukę, i teatr jego, oczywiście istota walki pozostanie niezmienną, zmieniają się tylko akcesorya.

Jakąż jest walka i czyn dramatu polskiego—marzeniem i snem.

I stworzysz świat, jak tworzy Bóg,
ale nie świat realnych scen,
lecz nikły świat jak ze snu sen.

Snem jest sztuka polska i teatr polski, tak samo, jak snem i marzeniem był każdy polski czyn.

Porównywać? Ale na to trzeba byłoby wżyć się i wejść i w siebie wziąć duszę Greka, czy Skandynawa, Francuza, czy średnio-wiecznego chrześcianina, a wtedy można byłoby porównywać, a tak będzie to zestawianie faktów zewnętrznych. Więc analizować, iść w samego siebie i przyglądać się i myśleć, to pono najtrudniejsze.

Więc teatru polskiego nie było długo. Już Anglicy błyszczeli gieniuszem Szekspira, Francuzi topili się w klasycznych Corneillach, już Europa dumna była swoim dramatem, a myśmy go nie mieli. Nie mieliśmy ani „lwich serc“, ani pudrowane peruki nie leżały gładko na naszych golonych głowach, w których się zawsze coś dziwnie plotło.

Pisał Kochanowski „Odprawę posłów“, a Szymonowicz „Józefa Czystego“, układali je-

zuici „intermedia“ z bakałarzami i żakami, a nasi klasycy napisali conajmniej siedm „Barbar Radziwiłłowien“, nie licząc innych historycznych dramatów polskich, ale chciałbym widzieć dziś jednego człowieka, który wie o tym więcej, niż się z podręczników dowiedział.

I dramatu polskiego jak nie było, tak nie było.

Była zato już zdawna liryka polska, ta gdzie marzenie mogło się niczem niekrepowane uzewnętrzniać, gdzie nikt mu nie stawiał tam,—była i drobna epika, również ta tylko, co nie kazała odrywać się od snów i stawać na koturny epickiego chłodnego klasycyzmu, ten coś bardzo nie pasował do naszej poezji.

Naśladowaliśmy obce wzory, tłumaczyliśmy i przekładali, a wszystko to pozostawało obce, i bez skutku, bo żaden naród i żadna sztuka nie nauczyły nas, że marzenie i sen także mogą się stać treścią dramatu, większego może i potężniejszego, niż krwawe czyny Makbetów, niż Hamletowe wątplenia, niż walka Greka z jego erynniami, a przynajmniej równie wielkiego.

I trzeba było, żeby przyszedł rozpętany romantyzm, co chciał tylko własnej duszy słuchać głosu, a żadnych innych podszepców, choćby najmądrzejszych, żeby prócz liryki stać się mógł i dramat polski, dramat zresztą najbardziej liryczny, jaki sobie wyobrazić można.

Rozpoczął go, jak wszystko, Mickiewicz. A jego dramatyczna liryka była tak bardzo liryką, tak mało dramatem, że nawet trudnoby ją skądinąd za dramat uważać. Istota „Dziadów“, czy ta, co się streszcza w miłosnych trenach, czy ta, co zawarta jest w Konradowej ekstazie, tak przecie mało wspólnego ma z tym powszednim działaniem z t. zw., akcją dramatu, choć wcale przez to czynem, ni walką być nie przestała.

Weźmy Prometeusza, Grek go nam pokaże na szczycie Kaukazu, skowanego już, już upadłego w bohaterskiej walce z przemocą, pokaże nam nagi szczyt skały i piorun, i rzuci proroctwo Herakla, a wszystko to będzie takie żywe i plastyczne, i wyraźne. A Konrad, który wszak także jest Prometeuszem? On jeszcze nie skowany tu właśnie, toczy się walka. Grek nie mógł zobrazować walki, bo

jego walka musiałaby mieć obrazy piętrzących się jedne na drugie gór, piorunów, krwi, jęków, szalonych dreszczów natury, on mógł tylko opowiadać o tej walce, która się bez trzęsienia ziemi obyć nie mogła.

Misteryum—stylizowało. I ono potrzebowało trzęsienia ziemi, a że nie mogło mieć go na zawołanie, odwoływało się do dusz prozelitycznych, do dusz prostych i naiwnych, mówiło: teraz bije grom i obecni żegnali się w pokorze, choć gromu nie było słychać, mówiło: a oto rozwarła się ziemia—i pobożni padali na kolana, truchlejąc, choć za murami kościoła cicho i jasno śmiało się słońce zaglądając przez witraże do wnętrza, a ziemia nie pękała nigdzie. Tam największym dramaturgiem była wiara, poddawać jej trzeba było tylko stylizowane linie, resztę dorabiała sama,—dorabiała nawet znacznie więcej, niż trzeba było.

A nasz Konrad jest w momencie walki. I on grozi: „wstrząsnę państw twoich obszarem“, ale to tylko groźba, w marzeniu tylko to uczynić zdoła, on „samotny, więziony myślą wznosi i obala trony“; on walczy w samotności i walka ta jego toczy się

tam, kędy płynie rzeka podziemna niewidzialna. Ludzie z tej duszy jego, i z tej walki jego widzą tyle tylko, ile krwi widzą w jego twarzy, ziemski wzrok nie sięga tam, kędy się dzieje ten cud,—ziemski wzrok pozostaje przy zjawiskach, a ten czyn, ten dramat, czyni się ponad zjawiskami.

A nie jest to walka z erynniami—przywideniami, z przeznaczeniem, z abstrakcją, tu wszystko jest realne i wszystko marzenne,—walka się toczy „wojskami mar przeciwko ciał”.—Ale, Dziady, to liryka, niepoprawna, marzycielska liryka, to jeszcze nie dramat.

Więc Krasiński. „Nieboska” może to dramat. I cóż jest? wszystko tu dzieje się, jak w halucynacyi. Próżno szukać życia, stylizacya barokowa niemal w charakterystykach, a razem marzenność przedziwna.—Cóż z tego wszystkiego istnieje realnie? Chyba „Ojciec Chrzestny” i kilka postaci ze świata „przeszłości” reszta, to wojsko mar, to świat snu, zagadnienie ich walki,—to nie to, jakie się da ująć oczyma, to nawet nie prometeuszowa tragedia, to jakiś olbrzymi problem filozoficzny, ale znów nie z tej filozofii czystej, albo t. zw. stosowanej. Tu chodzi o jakiś dramat, który

się toczy gdzieś za światem, w niedostępnych, nieznanych, tajemniczych krainach bytu, czy nirwany, na ziemi mamy tylko jego projekcję, tylko cienie na matowym szkle kamery obskury. Oto stoimy w cieniu, przed nami wielka mleczna szyba, okno niewiadomego, tam za szybą toczy się jakiś bój, na szybie cienie płaczą się i giną przed oczyma naszymi, — co to jest, skąd idzie, dokąd, po co, — dośpiwajcie sobie. Niepokój dziwny przenika nas, wiemy, że „tu o wszystko chodzi” — — — wiemy, że się łamią tu jakieś moce wielkie, że się czynią wielkie czyny, całe światy padają w gruz ale to wszystko dzieje się we śnie i w marzeniu.

Czy potrzebuję podkreślać, że nie o mistycyzm i fantastyczność tylko tu chodzi. Zarówno mistycyzm, jak fantastyczność, jak realność, lub klasyczność, są to pojęcia obce nam, zapożyczone. Romantycy w ostatniej dobie, kiedy się wznieśli do szczytu swojej samoistności, wówczas zarazem wpadli w pewien błąd sami, i za nimi poszli ich apologety, pro prostu połączyli ich, podporządkowali formom, i kształtom, wyrobionym na zachodzie. A wszak, gdybyśmy mistyka, Mickiewicza, porównali z

pierwszym lepszym mistykiem zachodu Svedenborgiem, czy Saint-Martin'em, to byśmy taką olbrzymią między nimi wykryli różnicę. Słowackiego unosiła fantazyja, ale i romantycy niemieccy dawali się jej porwać, a ciekawem kto będzie mógł utożsamić lub przynajmniej ujednostajnić fantazyję Anhellego, z fantazyją choćby Fausta, że nie mówię o innych.

Jest coś nieokreślonego, co się opowiedzieć nie da, co nawet znaczeniom wyrazów nadaje osobny, samodzielny charakter. Wiemy, że zachód nie zna naszego „ducha“, „tęsknoty“, „słowa“, tak samo nie zna naszego dramatu, ani naszej sztuki wogóle, tak samo i my czerpiąc wszelkie terminy i określenia z zachodu, przyczepiamy etykietę „mistyczny“, „melancholijny“, i t. p., do pewnych zjawisk, które są zaledwie trochę podobne zewnętrznie do tych, które im nadać chcemy, istotą swoją różnią się bezwzględnie.

Więc nie jest bynajmniej „mistyczną“ Nieboska, choć ma w sobie tajemnicę i tajemniczość, choć nie na ziemi się dzieje, i nie walkę między ludźmi realnymi ma obrazować, jest ona tylko marzenną, jak sen straszny,

posępny i krwawy sen, który się kończy w przedświtową godzinę, niejasną godzinę chłodnych dreszczów i mgieł, wylaniających się kędyś z ziemi na spotkanie słońca. A Słońca niema jeszcze, jest tylko jego tęsknota, jest tylko marzenie o nim.

I w Irydionie czar jakiś i zakęcie nas ogarnia, przechodzimy do sfery ucieleśnionych snów, jak lunatycy idziemy za posępnym, a księżycowym Masynisą błąkać się po ruinach jakiegoś bajecznego Rzymu, z przerażeniem karkołomną odbywać wędrówkę ponad aquae ductami, zstępować w tajemnicze podziemia.

A kiedy, zostawiwszy Masynisę i jego opętańca pod krzyżem w Koloseum, zechcemy się przenieść w krainę, gdzie mogiły i krzyże nietylko w Koloseum stoją, ale całej ziemi imię swoje dały, to odbywać będziemy tę wędrówkę na chmurze z Kordjanem. —

Azacz to nie sen? nie marzenie? ten Fantazy, co w rękę porywa sztylet. Tu „słowo jest czynem“, a czyn? — snem i marzeniem. Nie moralizatorem i wytykaczem błędów społecznych chcę być, jeno badaczem i obserwatorem. —

Naszemu dramatowi ciasno i duszno na ziemi, tak samo, jak i nam.

To znany fakt, że sztuka idzie w kierunku dopełniania życia, szuka tego szczęścia i słońca, którego życie nie daje. Tylko, że inaczej go Grek, inaczej chrzecianin, inaczej my szukamy. Grek chciał oszukać Przeznaczenie, Chrzescianin rozrzewniał się na widok malowanych śmiesznych i wstrętnych ran, w które się z lubością wpatrywał, zadawalając swoje egoistyczne instynkty: ja cierpie, ale Ten cierpiał bardziej jeszcze i z naiwną brutalnością żądając od tego, który cierpiał, aby z jego bark zdjął mękę.—My prosimy tylko „o siłę przed rozdarciem ćwieka“, szukamy tylko w sobie tej mocy, która by nam pozwoliła „zanucić pieśń szczęśliwą“. Nie znajdujemy jej i to jest dramat polski.

Więc wydobywamy na jaw ze siebie tęsknotę naszą wielką, i tworzymy w sobie surrogat mocy i tworzymy niebyłą fantastyczną walkę z jakąś inną, wrogą nam potęgą, życiem i to jest treść dramatu polskiego.

A że to wszystko nie jest mistycyzmem, ani fantastycznością, a tylko walką „mar przeciwko ciałom“, więc snem i marzeniem i ja-

kimś niepoprawnym idealizmem, i jakąś bezli-
tośną wiarą, że gdzieś i kiedyś musi być czło-
wiek wielki i ludzie wielcy, i czyn potężny,—
tęsknota do nadczłowieka.

Czym jest hr. Henryk i Pankracy? Leonard i Irydion, i Masynissa, i Metella, i wszystkie te postacie. Snem i snem tylko. Ale gdyby nawet one były żywymi postaciami, to i wówczas nie przestałby być marzennym dramat sam i jego założenie.

Idźmy dalej, ani Mickiewicz, ani Krasiński nie stworzyli dramatu polskiego, twórcą jego jest Słowacki.

I cóż?

Kordjan, Lilla Weneda, Salomea, Sawa, Horsztyński, Wernyhora, Gruszczyński, Ty-
menko, a nawet Mazepa i Zbigniew, Ame-
lia i Marya Stuart, to wszystko barwny świat
snu. Idziemy więc, widzimy postacie, co mają
krew i żyją, często są tak przedziwne realne,
tak żywe, a jednak jakaś biała mgła przesła-
nia nam to wszystko i znacznie lepiej wi-
dzimy dramat wówczas, kiedy, zamknawszy
oczy, wywołujemy w sobie jego wizję, niż
wówczas, kiedy dobre, niestety, z konieczno-
ści nieudolne chęci, wywołują dramat na sce-

nę.—Wówczas traci się w nim wszystko to, co jest może najistotniejsze, to, co się uchwycić nie da, to, co właśnie powiedzieć chciał autor i dla czego znalazł ostatni i jedyny wyraz.—Większość wcale nie może być grana. —

Więc dramat literacki.—

Bardzo to fałszywe mniemanie.

Utarło się w umyśle naszym, że, ponieważ dramat ma być działaniem, musi mieć akcję, ponieważ ma oddawać czyn, musi mieć gest, i kto z aktorów ma mocny gest, ten staje się bohaterem, ale starczy on dla Szekspira, nasz dramat potrzebuje bohatera, któryby swój gest ukrył, przetransponował na stany duszy, któryby się umiał wystylizować do syta, żeby tylko, jak te japońskie rysunki dawał linię, ton, tylko pomagał duszy widza dostroić się do harmonii dzieła, a ponieważ tak subtelного aktora jeszcze żadna kobieta nie urodziła, więc tymczasem nie można grać tego dramatu, nie znaczy to, żeby go nie można grać wcale, i żeby był on tem, co się nazywa literackim dramatem. —

Bo ta nazwa, jeśli ją rozumiem, ma znaczyć tyle, co dIALOG, co poemat, w którym

opowiadanie dla jakichkolwiek względów zostało ujęte w dIALOG,—zresztą mniejsza o słowa.

Chodzi o to, co powiedział o literaturze Mickiewicz, „każde dzieło jest tutaj zarazem czynem.“

A powiedzenie to wydaje mi się jeszcze tembardziej charakterystyczne i ciekawe przy specjalnej analizie dramatu.

Rozwińmy je dalej. Nie tylko dzieło, jako całość, ale i to słowo, które się nań składa, ma w sobie pierwiastek czynu, dlaczego? po pierwsze, bo znaczenie tego wyrazu w języku naszym ma osobliwy odcień, zawierający w sobie coś niezmiernie głębokiego, równoważy się ono z greckim „Logos“, choć główny punkt ciężkości leży nietylko w myśli, do której przenosi go Grek, ile we wcieleniu jej, — w czynie.

A potem, jeśli weźmiemy tę formułę odwrotnie, to będziemy mieli: „nie każdy czyn wprawdzie jest tylko słowem, ale może być czyn, dla którego istnienia nie potrzeba nic więcej prócz słowa“.

Metafizyka? być może, zdaje się jednak, że nie.

Dusza ludzka, całość jej władz, skupia się pod wpływem szeregu oddziaływań zewnętrznych, za sprawą pracy wewnętrznej, skupia się i wydaje ze siebie jakąś pobudkę, która musi się uzewnętrznić, uzewnętrznienie to skierowane najczęściej przeciw tym, oddziaływaniom, często zaś ku nim dla ujęcia ich, — staje się czynem.

Ma ono wszakże i inną stronę. Oto skoro się uzewnętrzni czyn, będący naprzód w formie kinetycznej w duszy, styka się on z materiałem, na który ma oddziaływać innymi słowy, ma osiągnąć rezultat, ma coś zdziałać, coś uczynić.

Że zaś żyjemy w świecie materii, zatem działanie to winno być materialnym, winno być wprawiać w ruch mięśnie, wulgarnie też najczęściej bywa pojmowane w ten sposób, a zresztą wobec konieczności obrazowego myślenia, i widz, i aktor, kiedy słyszą słowo czyn, prostują się, nabierają tchu w piersi, czasem, bardziej bohaterzy, wpadają w konwulsyjne drgania. —

Tymczasem istnieje pono czyn inny, działanie inne, to, dla którego nie trzeba drgań, ani

giestów, o tyle, o ile wogóle można się obyć bez ruchu na ziemi.

Gdybym całą mą wolę
ścisnął natężył i naraz wyświecił,
może bym sto gwiazd zgasił
a drugie sto wzniecił...

bez bohaterskich giestów...

Ale cóż to jest to „wzniesienie gwiazd“, „obalenie tronów myśla“, te okopy Św. Trójcy“, i wizje Chrystusowe, te „Sny Salomei“, i Wernyhory proroctwa, zwycięstwa ducha ks. Marka, i Sądy Boże na Zamojskim, co to jest to wszystko, zali to nie „podróż na chmurze“, czy to nie sen i nie marzenie. Bo, naprawdę, zawiele to, jak na fantazję, raz wreszcie możeby się warto od niej oderwać, uleczyć na chwilę, te śmieszne mrzonki i dziwactwa porzucić. Piękne to być może, ale co to wspólnego ma z czynem.

A jednak największy z czynów, jakie znam od świata początku, to czyn Chrystusowy.

A tam nie było pracy mięśni, był sen, marzenie, królestwo nie z tego świata i słowo.

I niema tu wcale mistyki, niema tu mowy

o czemś transcendentalnem, to jeden z tych, najbardziej realnych, a często zapoznawanych objawów życia.

Jakaś wielka wola natęży się i naraz wyświeca, a ten jej wybuch, jak wybuch granatu, powala odwieczne świata budowle, co dziwniejsza, rodzi nowe gmachy, częstokroć potężniejsze i trwalsze od tych, co się „pracą rąk“ w dosłownem znaczeniu podniosły. Chodzi jednym słowem o czyn ducha i ducha potęgę, chodzi o to, że tam, gdzie jest wielka i siły swojej świadoma potęga i wola, tam nie potrzeba już materialnych codziennych objawów, pośredników do jej uzewnętrznienia, albo inaczej, pośrednik schodzi na plan tak nieznaczący, że prawie całkiem z oczu ginie.

Mała, o niesłychanem skupieniu, energii, maszyna piekielna, w jednej chwili burzy, przez długie lata i uciążliwą pracę wzniezione gmachy, dlatego właśnie, że ma w sobie tę energię wielką, to coś, co na język psychologii przełożywszy, można wolą nazywać, a wszak energia nie jest niczym transcendentnym.

O tę wolę zatem chodzi.

Któż ją ma jednak.

Ten nieznan, daleki, nadczłowiek.

Pierwszy raz pada ten wyraz z ust Słowackiego, zapomniany później wróci do nas, za pośrednictwem Nietzschego dopiero, ale idea, treść tego wyrazu pokutować będzie niezmiennie, bez końca, pod rozmaitemi postaciami, w rozmaitych formach i kształtach.

A teraz ta zewnętrzność,—to środowisko.

Pośrednikiem przy wybuchu energii maszyny piekielnej, stanie się wszystko, cokolwiek podpadnie pod jej wpływ, a co będzie miało w sobie jakąkolwiek na jej działanie odporność. Pośrednikiem w uzewnętrznieniu Woli będzie również wszystko, na co ona będzie w stanie oddziaływać bezpośrednio, a do tego nie potrzeba ani giestu, ani akcji.

Więc dramat bez akcji, więc dramat woli, dramat, który się dzieje, ale kędyś, w nieznanach dziedzinach tajemnic nieodkrytych. Czyn, który niema formy, ma tylko treść samą.—Lunatyczny, obłąkany czyn-marzenie.

I rozumowanie nasze biegnie po błędnem kole. Nie metafizyka to wszak, i nie schola-

styka, po prostu tylko próba analizy, próba uporządkowania zjawisk, objętych mianem dramatu polskiego; gdziekolwiek i skądkolwiek zaczniemy ją prowadzić, dojść trzeba do tego standpunktu,—że w krainę snu przechodzimy z nim, w krainę rojeń, poza powszedniość i zjawiska dnia.

Punkt ciężkości przeniesiony tu został od zewnętrżności do wnętrza, od skutku do przyczyny, od emanacji woli do niej samej. Nie chodzi tu już o dramat gościów i słów, chodzi o dramat woli, tej, co zebrawszy siły swoje wyteża je przeciwko życiu, a życie to uraga jej, a może kiedyś przed nią ustąpi.

Ale to wszystko może się dziać tylko poza formą, pod nią, w głębi, poza życiem, w głębi jego niewidocznej, pod ziemią tam, kiedy płynie tajemnicza rzeka, tylko z drgnień skorupy dowiedzieć się możemy, że jest, poznać ją bliżej tylko w marzeniu.

A może to wszystko tylko romantyzm, może ci, co po romantyzmie przyjdą i stworzą, poprowadzą dalej zaczęte dzieło tworzenia dramatu polskiego, może ci, co od romantyczno-marzennych założeń odstąpią, posta-

wią jakieś inne tezy, przeniosą się od snu do rzeczywistości.

Zapewne. Wszak były po polsku pisane „Odprawa posłów“, „Józef czysty“, „Barbary Radziwiłłówny“ i „Towarzysze Pancerni“, a choć przeprowadziwszy dokładną analizę i w nich by się może to, o czym mówimy, znalazło, to wszak są i takie dzieła, w których szukać nie warto, zbyt mało są polskie.

Ale, gdybyśmy przeszli od założeń, celów i zdobyczy niepoprawnych, mistycznych i fantazyujących romantyków do pozytywistycznych prac dramatopisarskich i do modernistycznych dziwów.

Więc—pozytywiści z istoty będący tylko reflekssem zachodu, mało położyli zasług na polu dramatopisarstwa rdzennie polskiego, rdzennie polskiem nazywam takie, które się jaknajistotniej od zachodniego różnić może, naturalistyczne zakusy różnych Sudermanistów, albo teatralna hołota i kabotyni, fabrykanci komedij, międzynarodowych, bo nawet nie francuskich, to prawie cały na tym polu dorobek pozytywizmu; powtarzam, można by je analizować, i zapewne by się ciekawe okrucy znalazło, ale tylko okrucy, wybierajmy

więc rzeczy charakterystyczne. A takim charakterystycznym dramaturgiem jest mimo wszystko—Świętochowski. —

Jeden tylko z jego dramatów dostał się na scenę i przetrwał krótko, ale w czytaniu przetrwają długo wszystkie.

I czyż nie są one marzeniem, czy nie są one dramatami woli, nie akcyi. Znowu pomijam wszystkie inne, zatrzymam się przy Duchach.

Napisał ktoś kiedyś „Legendę wieków“, dał obrazy realne, wierne, historyczne niemal i było dobrze. Napisał „Duchy“ Świętochowski, odrzucił formę, odrzucił wszystko, co było mu zawadą, całą realną rzeczywistość, — to był filar pozytywizmu,—całą prawdę historyczną, wziął tylko zagadnienie miłości, miłości uzewnętrzniającej się, czynnej, nie kontemplacyjnej oczywiście i około niego osnuł dramat, ją rzucił w walkę z tym, co dla Świętochowskiego zawsze najgorszym wrogiem było ze społeczeństwem i ludźmi.

Więc znowu problem woli, co skupiona i natężona przybiera mglisty kształt miłości i w nim żyje i walczy.

Walka miłości z życiem...
wojskami mar przeciwko ciał...
jak ze snu sen...
każdy z was mógłby samotny, więzio-
i t. d. [ny...

Dramat idei, które się wazą kędyś, w zaświecie, na ziemi tylko nikłe, stylizowane kształty, na ziemi tylko symbole..

Symbolicznym od początku do końca jest dramat polski.

Ale to wszystko nie jest przecie kategorycznym dramatu polskiego rozkwitem.

Słowacki — samotny król, dał, co miał dać, wznosił się do szczytu w Samuelu Zborowskim. Pozostawił hojnie zasianą glebę spadkobiercom, żeby na niej nowe plony zbierali. —

I dramat polski już istniał, była to wprawdzie przepyszna, ale tylko płonka, trzeba ją było rozwinąć.

I przyszli dwaj dramaturgowie, co się tego czynu podjęli skutecznie.

„U mnie — mówi o sobie Przybyszewski — niema zazwyczaj żadnej akcyi, gdyż opisuję jedynie życie duszy. Wypadki zewnętrzne są tylko kulisami duszy,—takiemi

kiepsko namalowanemi kulisami, jakie napotkać można w teatrzykach amatorskich na prowincyi“.

I ten człowiek, nie uznający akcji, ni zewnętrzności, ten liryk czystej wody, miał się stać i stał się jednym z najpotężniejszych odrodzicieli dramatu polskiego po czasach, jego upadku, znamionowanych przez twórczą działalność wszystkich nieprawych „ojców, czy ojcymów, komedyi polskiej“. —

I powstał szereg dramatów jego, dramatów bez akcji. Walka i czyn przeniesione tu zostały od zewnętrzności, od objawów, od zdarzeń, kędyś włąb, do serca ludzkiego i w dal, za światy. Zagadnienie, które one poruszyły, to było zagadnienie walki płci, stosunków seksualnych. I oto zamiast realnego opisu, tak realnych rzeczy, mamy coś co metafizyką nazwaćby można.

Wiele jest wspólnego pomiędzy Przybyszewskim i Huysmansem. Ale, jeżeli porównamy powieści Huysmansa z dramatami Przybyszewskiego, to różnicę ujrzymy niezmierną, obaj są seksualnymi mistykami, ale Huysmans i jego czarne msze, i jego satanistyczne obrzędy, i jego nawrócenie, i kla-

sztory, to wszystko jest tak przeraźliwie zmysłowe, takie materyalne, twarde, brutalne po prostu. Ten Strindberg, z którym tak często porównują Przybyszewskiego, to parobek i gbur w porównaniu z hrabią, który aksamitnym, krokiem odchodzi z buduaru cudzołożnej swojej żony.

A dlaczego?

Bo Przybyszewski przenosi istotę zjawisk poza realność.

Bo dla niego On i Ona, to tylko znaki umówione, bo walka się toczy nie między Adamem i Ewą, ale pomiędzy jakimiś astralnymi ciałami, pomiędzy duchami, we wnętrzu absolutu, panteistycznego Boga, rzeczywistość, to tylko źle malowane kulisy.

Jakaż tu może być akcja i jaki dramat. Weźmy najtypowszych „Gości“. „Rzecz dzieje się w sercu ludzkim,“ objaśnia autor. Cóż się tam dzieje? Tańce, zabawa, wesele, i coraz powtarzający się refren zbrodni, i ciągle, niepewna, zasuggestjonowana myśl o śmierci; co się dzieje, — nic się nie dzieje, dla klasycznego dramaturga nie ma tematu. Taki pan może sobie siedzieć spokojnie i ziewać, może sobie iść ulicą, i wymieniać uprzejme ukłony, a

tam, kędyś, w t. zw. sercu jego, dramat, posępna tragedia, długa i zawiła, jak wieczność, jak istnienie. —

Nic by w tem napozór nie było dziwnego, powiedzielibyśmy, dramat psychologiczny, i przeszli do porządku dziennego, ale tak nie jest, bo najbardziej psychologiczny dramat może wprowadzać duszę tylko, wyznaczając jej t. zw. właściwe miejsce, t. j., pokazując ją, jako przyczynę tych czynów, tych działań, tych walk, jakie się dzieją realnie. A tu nic się realnie nie dzieje, tu wszystko zostało przenieśnione na mowę duchów, i tylko jak marionetki, kierowane niewidzialną ręką operatora, poruszają się ludzie na scenie.

I Maeterlinck pisał sztuki dla teatru marionetek, ale i tu niepodobna nie widzieć różnicy. Ślepcy Maeterlincka poruszają się, jak kukły, a pochodzi to stąd, że są ślepcami, jest gdzieś tajemna moc, która nimi kieruje, mądra i wszechwiedząca, tylko oni są ślepi, nie widzą tej nici kierowniczej, tego połączenia pomiędzy sobą, a niewiadomem, nie mają mózgu, któryby to odgadł i przez to są manekinami.

Oto lepszy jeszcze przykład: „La mort du

Tintagiles.“ Nieznana nikomu, niewidzialna za siedmią żelaznych drzwi ukryta królowa, postanawia porwać Tintagilesa, jak porwała już braci jego; nie pomoże czuwanie i miecz w ręku starego sługi, porwie go z objąć uśpionej siostry i próżno się będzie dobijała siostra do zatrzaśniętych żelaznych wrót.

Ale tu dramat jest, jak i grecki, człowiek i przemożna moc przeznaczenia, czy nieznaney królowej, dramat w życiu,—to jeszcze nie „wielkie duchów świętych wojny święte“.

A u Przybyszewskiego ludzie-marionetki poruszają się tak, jakby dramat się stał kędyś, poza tą kotarą, gdzie ukryte są dłonie nici poruszające.

Oto, może wędrowny aktor, co ze wsi do wsi kukły swoje obwozi, naraz, ukryty za kotarą, kiedy publiczność czeka niecierpliwa na widowisko, dowiedział się, że jego żona zdradziła go z oberżystą i dlatego ten nie ścigał ich, kiedy uciekli z oberży, nie zapłaciwszy długu, i ręka z poprzywiązanemi do niej nitkami marionetek, konwulsyjnie sięga po nóż, krótki bój, za kotarą walka, pada trup wiarołomnej, krew, a tymczasem przed zdumioną publicznością, biedne kukły miotają się,

jak opętane, rozbijają głowy o kamienie, na których stoi buda, nitki się porwały, splątały...

I domyślili się widzowie, że dramat za kortarą.

Ta jest różnica między kukłami Maeterlincka, czy Barbeya d'Aureville, czy Villiers'a de Lisle Adam i kukłami polskiego dramatu.

Bóg oszalał?

A może tylko duchów kolumny idą na siebie, zastęp przy zastępie, i toczą walkę orłów z Króla-Ducha, a na ziemi: dziwny, bezprzyczynowy, pozornie niewytłumaczalny szereg przyczyn bez skutków i skutków. bez przyczyn, bo nici się w rękach walczących splątały.

U Przybyszewskiego kara idzie za grzechem koniecznym, kara pozornie. nic z winą niemająca wspólnego.

A indziej znowu nierównie prostsza kombinacja półświadomej tęsknoty, nierównie jaśniejsze symbole „Śniegu“, niemniej przeto senne i marjonetkowe.

To samo zatem i tu, co było u Słowackiego. W „Samuelu Zborowskim“ prowadził nas Słowacki i do grobowców Ramzesa,

i w głębiny wód, i w dzikie szczyty Tatr, i w królestwo duchów, przenosił dusze z ciał do ciał, i z wieków w wieki, niekrępowany niczem, aby tylko pokazać nam, do jakiego stopnia kształt, forma, jest rzeczą błahą, aby tylko pokazać nam tę walkę, która się między duchami toczy od wieka, na ziemi tylko cień jej, tylko refleks mglisty i senny.

Pokazał nam ducha form, kowala, prowadził za nim przez jego historię od początku, od pierwszego ślimaka i gwiazdy morskiej; co to wszystko ma wspólnego z akcją dramatyczną, w powszednim tego słowa znaczeniu? chyba nic, a jednak jest to dramat i dramat czynu, czynu bezmuskularnego, czynu ducha, czynu słowa.

Tak daleko, jak Słowacki, nie sięgnął nikt, ale bo też był on jedyny, król i sam. Ale w tym samym kierunku szli inni, szedł Wyspiański. Ostatnia scena „Wesela“, to jakby ilustracja, stworzona umyślnie do tego, co tutaj mówimy. Był Wernyhora i odszedł, był złoty róg i zginął, stał na zimnie chochoł, a teraz gra, co się stało? kędyś toczyła się walka na ziemi ludzie, w śnie, w halucynacji tańczą.—A czy oni żadnego udziału w

walce nie brali? owszem, oni byli tam w boju i są, ale nie zewnętrznością swoją, bo ta bawi się na weselu, i dramat nie na weselu, nikt nikogo nie zabił, nikt nikogo nie zdradził, niczem się nie naruszyła spokojna od początku harmonia. Tak samo z szlachtą polską polski lud, jak przyszedł tańczyć, tak tańczy, więc gdzież jest dramat. — Za światem? może, a może i tu na świecie tylko nie dramat wypadków, nie dramat psychologiczny, może dramat idei platońskich, kategorii metafizycznych kolumn duchów; cały świat dziwny, nikły, jak ze snu sen, wyłania się z kątów, drga w tonach skrzypiec chochołowych, tańczy pomiędzy weselnikami, ukrywa się za ścianami izby, huka po lesie ze złotym rogiem, z tętentem koni i echem dzwonów, idzie od Krakowa, wszędzie naokoło jest wielki przedziwny dramat, nieodgadniony tylko, to, co widzimy, to cienie, dramat za matowym szkłem, my widzimy tylko cienie na tafli białej.

A „Legion”—przecie to już sama abstrakcja, przecie to już tylko sam szkielet myślowy, tam próżno szukać zdarzeń, tam, jak u Słowackiego, nad wieki i ludzi wy-

niesione, walczą siły nieznane, jak szermierze wprawni, coraz to inną porywają broń, coraz to inne mistrzowskie zadają cięcia, a ludzie, to tylko narzędzie w ich ręku, to tylko klingi, od czasu do czasu błyskające w powietrzu, to tylko malowane kulisy, często źle malowane,— może symbolizm, tak, ale i jeszcze coś, to coś, czego nazwać nie można, a co tak samo wynosi dramat polski ponad symbolizm, jak poza mistycyzm, lub inne znane formuły.

A Kłątwa, a dramaty greckie, a Legenda, czy to nie też same ilustracje, czy tam nie mamy do czynienia ciągle z ziemskim odbiciem pozaziemskich rzeczy.

O jakaż mi dola, o jakaż mi droga
Ja w walce tknięty od Boga,

a ta walka, to nie walka Greka, z przeznaczeniem, to walka Lucyfera z Bogiem, Heliona z innym duchem, może potężniejszym, ale bynajmniej nie grającym w stosunku do niego, roli nieubłaganego przeznaczenia, — walka niemal równego z równym.

Wreszcie Wyzwolenie, ten nawskroś „literacki dramat”, te 22 maski, jakaż tam akcja, jakież tam działanie, filozofia płonna, od cza-

su do czasu ilustrowana kolorowemi obrazami katedry Wawelskiej, w niej kardynałów, magnatów i szaraczków.

A jednak, czyż może być dramat straszniejszy, niż ten miotającego się w okowach ducha Konradowego, ducha, który tak wiele, tak gorąco marzy i kocha, i taką ironią zgrzyta mu życie dokoła. Pęty niematerialne, nałożone na siłę niematerialną, a wszak to straszny dramat, straszniejszy może, niż najkrwawsze zbrodnie. Konradowi wydarto oczy. Wydarcie oczu, przecie to straszny dramat, pomyślmy: naraz zostaliśmy w strasznym bólu pozbawieni wzroku. Ale tutaj, to tylko nicnieznaczający drobiazg, równie dobrze mogliby mu oczu nie wydzierać. Jak dalece zewnętrżność małe tu ma znaczenie, świadczy sama choćby scenerya: na scenie ciemno, nie widać ani Konrada, ani szarpiących go erynnij, słyhać głosy w ciemności, słyhać łoskot żelaza, o drzwi zawarte,—i nic więcej, cóż się stało z giestem, z ruchem, co się stało z maską twarzy aktora, z grą jego rysów, która taką dominującą gra rolę w dramacie psychologicznym,—wszystko to, jako niepotrzebne akcesorya odrzucone zostało, bo tu chodzi nie o

zewnętrżność, a o głos, wołający w ciemności, co znaczy tyleż, co głos na pustyni.

I cóż on woła, ten głos: „Na czyn, na czyn”, wzywa. A jakiż to czyn, czy naprawdę Konrad chce wywalić zamknięte bramy teatru, i iść z mieczem, lub żagwią płonąca podpalać domy,—zabijać ludzi? Nie, on tylko z węzami w ręku leci, żeby się stać narodu sumieniem, „za wszystkie serca nie bolące targać”, smagać dusze węzowym biczem. —

Co to jest? symbole, fantastyczność? Nie, to dramat polski, dramat umęczonego ducha, który nie ręką, lecz słowem, nie młotem, a duszą pragnie życie własne kuć, a krzywdę obalać, a przedewszystkiem pragnie sam się w mocy przedziwnej zolbrzymić, wzrosnąć, stać się Bogiem, Chrystusem, sam nie wie czem, byle tylko miał moc przed rozdarciem ćwieka,—który pragnie... ale tu może już przejdziemy do czego innego, do ideałów, a te przecież nie są wyłączną dramatu właściwością, rozciągnęłyby zaudto nasz temat.

Znowu więc mamy do czynienia ze snem i marzeniem, z czemś, co się dzieje poza rzeczywistością, nie z wizją nawet, bo i wizya musi mieć swoje kształty, a to wszystko bez-

kształtne jest i tylko myślowe. Nie znaczy to, abyśmy nie mieli żywych ludzi, pełnych krwi na scenie, owszem, ale najbardziej realni będą oni tylko odbiciem jakichś innych światów, istotnych, w stosunku do rzeczywistości, która tylko jest martwą zewnętrżnością. —

Ile tylko krwi ludzie widzą w mojej twa-
[rzy,

tylę tylko z mych myśli dostrzegą w mych
[pieśniach.

Ale myśli, to jedyna realność, reszta —
przypadkowa, mniej lub więcej złudna rzeczywistość.

Spójrzmy na to zjawisko z innej strony.

Długo nie mieliśmy polskiego dramatu.
Dlaczego?

Mickiewicz widział przyczyny rozwoju literki ze szkodą eposu w Polsce w jej położeniu geograficznym i politycznym. Turecka nawała nie dawała pola do bohaterskich popisów jednostki, a epos bez bohatera istnieć nie mogło.

Zapewne tak samo nie mógł istnieć dramat. Demokratyczna Rzeczpospolita, gdzie wszystko działo się spolem, nie zależała nigdy od jednego człowieka, od jednego bohatera,

około którego mogłaby się rozwinąć tragedia. A tam, gdzie jest wielu ludzi, tam mogą być straszne dramaty, ale niema tego jednego dramatu, któryby można przenieść na teatr.

Dopiero naśladownictwo, dopiero pseudoklasycyzm przesadził na nasz grunt Fredrowską komedię, dopiero koniec XVIII i XIX wiek, dały dramatyczne epizody, wysunęły na widownię bohaterów, ze szkodą może dla bohaterstwa narodu, ale razem dały materiał teatrowi, dopiero romantycy mogli pomyśleć i stworzyć teatr polski.

Ale to bohaterstwo różne było, niezmiernie wciąż jeszcze od Szekspirowskiego i greckiego, ale to bohaterstwo miało swój charakter odrębny, ten, który wyróżnia ks. Marka od Wienkelrieda, Rożę Wenedę od Małgorzaty z Fausta. Bohaterowie ci szli, jak hipnotyzowani jakimś marzeniem i snem złotym, „poświęcając rzeczywistość dla tego marzenia“, jak mówił choćby ich wróg największy, chcąc w ten sposób swoją dla nich wzgardę wyrazić. Ale ci wszyscy bohaterowie szli walczyć w imię czegoś nieuchwytnego, do czego się fanatycznie przywiązali, a co bynajmniej nie było tożsamością z ich szczę-

ściem; w sferze jakichś snów złotych, poświęceń, duchowych żołbrzymień żyli, sięgali w niebo, czując niemoc swoich mięśni i mieczów, szukali innego pola do walki, chcieli się na moc duszy mierzyć, mierzyć choćby z bogiem, a tam zdawało się im zwycięstwo łatwiejszem.

Stąd można było ich wziąć i rozumieć właśnie, tylko, jako narzędzia w ręku nieznanych sił życiowych i tem się, prócz innych motywów tłumaczy ten charakter dramatu polskiego, o jakim mówimy.

Stworzyli więc romantycy taki dramat zahypnotyzowanych.

Ale na razie nie mogli sobie z tym nowym materiałem dać rady. Widzieli przed sobą Schillera, Szekspira, Calderona, tak samo, jak klasycy mieli Molięra, Corneilla, Racina, i starali się ich formę nagiąć do swojej treści. Najłatwiej dał się zastosować Szekspir, ale rozumny Anglik nie wystarczył pozoromowym romantykom, on nawet wówczas, gdy pisał „Sen nocy letniej“, był w fantazyi swojej zamknięty w granice realne, a nasi pierwsi dramaturgowie nie chcieli, nie mogli mieć gra-

nic swojej fantazyi, sięgającej w pozazmysłową głąb’.

Więc Calderon,—ale i jego gadatliwa forma zaciasna była i Schiller nie wystarczał. Trzeba było formy nowej. Pierwsze rdzennie polskie dramaty to może „Nieboska“ i napewno „Samuel Zborowski“. Tam już niema Szekspira, ani kogokolwiek z zachodu, tam jest nowy duch w nowej formie.

Nikt dotąd nie ważył się w dramacie poruszyć zagadnień „Nieboskiej“ i nikt się nie ważył tak poszarpać formy dramatu. Nikt dotąd nie śmiał z dramatu uczynić tragedyi bytu, nikt przeto nie mógł mieć formy odbiegającej tak daleko od życiowych wzorów i tak w samej sobie nieposkromionej.

Poszarpał się ten dramat. Aktor, któryby tu chciał grać, musiałby się stać cieniem, myślą, teatr-maszyna sprężystym, jak myśl; wszystko tu biegło szybko, szamotało się, rwało, zamykało w kilku słowach, nieraz więcej znaczących, niż długie akty, to znowu, rozciągało się w długie, wylewne, szerokie obrazy.

A wszystko ogarniał jakiś szal przeskoków, raptownych, nieoczekiwanych zwrotów,

jak w gorączce, w letargu, w śnie, w halucynacji,—a może, jak w życiu.

Autor czuł, że trzeba komentarzy, dodawał od siebie komentarze, objaśnienia, za poemat starczące, przerywał dramat dla lirycznych wynurzeń; wszystko poza ramki teatru wybiegało, a wszystko dążyło do tego celu, aby sięgnąć poza formę do rzeczy samej w sobie, do tych światów, które oczyma duszy tylko mógł autor oglądać. A że miał to oczom fizycznym pokazać, musiał się zrywać w szukaniu sposobów, któreby wreszcie pozwoliły domyśleć się, że nie chodzi o to, co widz na scenie zobaczyćby mógł, ale o to, co się poza kotarą dzieje, nie o walki tych marionetek na scenie, ale o wielki bój duchów za sceną,
na ziemi jest:

Nikły świat, jak ze snu sen,
za ziemią:

wielkie duchów świętych wojny święte.



Mickiewicz, Słowacki i Towiański.

(Wrażenie).

Już sam zamiar ogarnięcia tak rozległego tematu w tak ciasnych ramach, wskazuje dość jasno, że chodzi tu o impresję przedewszystkiem i tylko o impresję. Nie podobna w tych kilku słowach roztrząsać porządnie i wyczerpać przedmiotu, któryby wymagał zapewne jakiegoś obszernego studyum, zbrojnego w odpowiednią ilość cytat i dowodów, mogących poprzeć tezy. Tu nawet tych tez postawić nie mam zamiaru, ani przy nich obsta- wać; powtarzam: chodzi mi przedewszyst- kiem o wrażenie.

A przedmiot to rozległy, bogaty i wa- żny niezmiennie. Chcąc poruszyć stosunek Mickiewicza i Słowackiego do Towianizmu, niepodobna nie mówić o Krasińskim, nie- podobna nie wgłębić się w samą tego Towia- nizmu zasadę, a wówczas będziemy mieli przed sobą owoc niemal całego życia narodu polskiego, będziemy mieli do czynienia z naj-

potężniejszymi duchami, jakie Polska miała może wogóle, a przynajmniej w wieku XIX, i to w tym punkcie, gdzie oni, rzuciwszy drogi utarte, poszli już, z rozpaczą niejako, prosto przed siebie, w gąszcz puszczy żywota, ażeby szukać dróg nowych, trzebić tę puszcze straszliwą. Oczywiście, każdy sąd w tym względzie powinien mieć dostateczną siłę dowodową, a nawet, kiedy ją ma, jeszcze i wówczas nie może być nazbyt oględny.

My, niestety, dotychczas oględnością nie grzeszyliśmy bynajmniej. Dziś, zapewne, niewielu już jest takich, coby powtarzali niedawne jeszcze stosunkowo sądy o Towianizmie, równoważące go z obłędem. Ale zapomnieć trudno, że sądy te były, choć dziś wydają się już dziwnymi co najmniej, były i trwałe, i wywoływały szeregi ubolewań pośród wielbicieli nawet szczerých, dla których Mickiewicz, czy Słowacki w epoce „Towianizmu“, stawali się godnymi pożałowania, zaprzeczeniem samych siebie i zaprzeczeniem własnego gieniuszu.

A tymczasem,—już dziś nie należy z sądem takim walczyć; byłaby to walka z nie-

przyjacielem, który dawno uciekł z pola, walka bezcelowa.

A chociaż w tym względzie zwycięstwo poprzedza bój, jest rzeczą dokonaną, to jednak nie rozumiemy tak samo Towianizmu, jak nie rozumieliśmy przed laty 20. Tak samo nie wiemy, czym był, dlaczego poszli za nim ludzie tej miary, co Mickiewicz i Słowacki, a choćby Goszczyński, Różycki, albo Aleksander Chodźko. Dlaczego w życiu wielu z nich doktryna ta była połączona z przewrotem wewnętrznym. Dlaczego Mickiewicz-Towiańczyk umiał wydobyć z siebie taką przeolbrzymią moc ducha, jaka tchnie z jego wykładów literatury, taką potęgę, jaką mieć musiał, żeby powołać legion włoski do życia, żeby na czele dwunastu młodzieńców odbyć ów pochód bezprzykładny, tak świetnie przez Wyspiańskiego do pochodu Chrystusowego przyrównany. Dlaczego Słowacki, ten młodzieniec-poeta, przypominający tak często może jakiegoś dandy, naraz staje się prorokiem niemal, a twórczość jego nabiera mocy niesłychanej i głębi, i już nietylko błyszczy oślepiająco, jak błyszczała dawniej, lecz dobywa jakichś tonów spiżowych, niby olbrzymi

rozkołysany dzwon, rzucający w powietrze jakiś wyzew potężny.

Dlaczego i dlaczego? — i nie wiemy.

I trzeba długo ślęczyć i szukać po kartach książek, trzeba mozolnie zestawiać fakty i zbierać je i porządkować, nim zaczniesz się rysować przed oczyma sylweta, cień sylwety, skądbyśmy mogli cokolwiek o tym, bądź co bądź, cudzie ducha naszego powiedzieć. Dziwne. Ludzie ci takim potężnym wołali głosem, taka z nich szła moc i siła, i głos ten przebrzmiał, skonał bez echa niemal. Przyszły pokolenia, co arlekinowo potrząsając pajacem z dzwonkami, pajacem, którego nazywali „Rozum,” albo „Interes”, podniosły taki wrzask, że w nim zagłuchły wołania geniuszów, jak na targowisku zagłuchnąć musi głos proroka.

I miasto żyć w sercach i czynach naszych, na martwym tylko żyją papierze, i tam tylko znaleźć można ślad tego wielkiego natężenia ducha, jakie w piątym dziesięcioleciu XIX wieku ogarnęło dwu przodowników narodu i z ust ich brzmiało głosem wołającego na puszczy, głosem Apokalipsy.

Więc kiedy już w lat dziesięć po upadku

powstania 30-go roku, emigracja polska w Paryżu dochodziła do stanu ogólnego rozprężenia, kiedy, jakby przekleństwo, jakie ponad nią wiszące poczynano się pełnić, dopełniło się może, kiedy straciła drogę ostatecznie niemal i do żadnych nie mogła przyjąć rezultatów, kiedy jedni szli śladem teoretyków i polityków francuskich, czy angielskich i uparcie walczyli z sobą o przewagę tego lub owego ustroju politycznego, a inni grążyli się w głębie dociekań mistycznych, modlitwą chcieli zbawić ojczyznę i sterane swoje dusze składali przed ołtarzami, kiedy wogóle już ten duch, ożywiający przez dość długi czas emigrację i świecący jej nadzieją powrotu do ojczyzny, począł niemal konać, — wówczas na widnokręgu jej wzeszło nowe światło. Światło to przywiózł Towiański.

Towiański, człowiek dziwny, człowiek jeden z tych, którzy umieli nad życiem boleć. Przed każdym staje życie palących sfinksowych zagadek szeregiem, ale jedni umieją ponad nimi przejść obojętnie, inni szukają rozwiązania na drogach przez poprzedników wytkniętych i idą, wierząc w podane im prawdy, bezkrytycznie i ślepo, inni wreszcie w praw-

dy cudze nie wierzą, szukają własnych, a tacy muszą nad życiem boleć.

Bolał Towiański. Przed oczyma jego działały się straszne tego życia krzywdy, tem straszniejsze dla niego, że, jak powiedział taki nawet Thiers, — „Towiański o całe wieki wyprzedził swoje pokolenie“. A krzywdy były rozmaite: oto naród ojczysty, naród umiłowany skonał, a śmierć jego była własną winą poniekąd; oto na grobie tej ojczyzny, obok urągającego wroga i zabójcy, panoszyło się lękliwe tchórzostwo synów zabitej, pleśniła się krzywda jednostki, która niemniej od krzywdy zbiorowej była Towiańskiemu katuszą.

A Towiański był człowiekiem dziwnym. Na świat z sobą przyniósł wiarę, że „od osi do osi tym światem wstrząśnie“, przyniósł z sobą jakiś duch buntowny, który się nie chciał panującemu poddać porządkowi, ale postawił mu się przeciw, chciał z nim walczyć, walkę tę wziął sobie za życia zadanie.

I, gdybyśmy chcieli za Towiańskim iść od dzieciństwa jego aż do śmierci, a przynajmniej aż do chwili, kiedy stał się Sprawą

mistrzem i począł za sobą takich samych bolejących ludzi prowadzić, tobyśmy zobaczyli nieustanne szamotanie i walkę, walkę nie bez zwycięstw, bo moc jego wiary, moc jego umiłowania i boleści, pochylała przed nim czoło nie jedne, nie jedną oddawała mu duszę w niewolę. Były to wszak zwycięstwa sporadyczne. Jeden człowiek świata pokonać nie może, nawet Chrystus czy tego dokonał, możnaby się spierać, jeśli wogóle trzeba sporu.

Więc zwycięstwa były liczone, a przed nim majaczyło widmo wielkiego, olbrzymiego przewrotu, w którymby skonał spalony świat stary, świat osobniczych interesów i egoistycznych pożądań, a przyszedł Chrystusowy świat wszechmiłości. I dążył do tego, jak umiał. Dążył, szukając bytu praprzyczyn, żeby w nie ugodzić; nie znalazł ich, uwierzył tylko, że światem moc człowieczych dusz, z Boga urodzonych, rządzi, i chciał te dusze skupić, w jednym pragnieniu zestrzelić, na czele tego duchów zastępu iść i świat przetworzyć.

Gdyby chodziło o jakieś odsłonięcie i wytłumaczenie naukowe, psychologiczne To-

wiańskiego duszy i tego wszystkiego, co się stało później jej treścią i celem jej pracy, to, zapewne, można byłoby to zrobić; kuli się o to ludzie niejednokrotnie, może nawet z powodzeniem, jak choćby Mazurkiewicz w swoim studium o Towiańskim, któremu, można było zarzucić tylko to, że był zanadto lekarzem, a za mało metafizykiem, ale nam nawet nie tyle o metafizyczną stronę Towiańskiego chodzi, ile o życiową, czynną, że się tak wyrażę. Nie będę zatem wyszukiwał tych wpływów, pod jakimi Towiański wzrastał, tych jakichś krwawych tradycji domowych, mistyczno-religijnego nastroju, który go w dzieciństwie otaczał; nie będę szedł za nim przed lata jakichś młodzieńczych walk i protestów, choć się tam już może dusza przyszłego proroka ujawniała; ani się nie będę z nim zagłębiał w filozoficzne studia, czy to nad przyrodniczymi naukami razem ze Śniadeckim, czy w mistyczne dociekania i fantasmagorie ze Swedenborgiem, Boehmem, Saint-Martinem, kimkolwiek zresztą; nie będę szukał w Biblii tych punktów i ustępów, które Towiańskiego uderzyć i pociągnąć mogły, które mu mogły dać materyał

do dalszych snowań, już samodzielnych, które go może naprowadziły na myśl o posłanctwie i działaniu. Zaznaczę tylko, że wszystko to było, że szukał Towiański zapamiętałe, że nie mógł cierpieć biernie i biernie patrzeć na świata krzywdy: chciał z niemi walczyć i z całą gorliwością środków, tej walki szukał. A kiedy, zdało mu się, że znalazł, postanowił nie zwlekać dłużej: iść i słowo Boże głosić, i świat do Bożego prowadzić królestwa.

Z początku ograniczał się kołem najbliższem; rozpoczął działanie między rodziną, pomiędzy ludem, „którego kierunek Bóg mu powierzył“, pomiędzy pańszczyźnianym ludem swojej wioski. Dał więc temu ludowi wolność i dał mu duszę swoją, pełną miłości, i było to jedno z jego zwycięstw, zwycięstw, zapewne, przemijających, jak wszystkie na ziemi zwycięstwa, bo nie wiem, czy lud w Antoszwiniach dziś, po kilku pokoleniach zaledwie, pamięta o tym panu swoim, którego za życia czarodziejem czcił i wielbił, jak sługę Bożego naprawdę. Ten lud go może nawet wciąż swoją do jakiegoś szerszego działania pobudził.

A szersze to działanie postanowił rozpo-

część Towiański od emigracji w Paryżu. Tam zebrano się to wszystko z Polski, co tak samo, jak on, z krzywdą życia pogodzić się nie mogło, co wołało wcale nie wracać do ojczyzny, niż wracać, nie niosąc wolności, niż wracać do ojczyzny niewolnej. Tam można było targnąć za samo narodu serce, stamtąd przemówić do brata-Francuza, stamtąd Europę, świat cały poruszyć.

I przyjechał Towiański do Paryża. Przyjechał pomiędzy znękanych i zmęczonych wygnańców, tułaczów, którzy już nawet często pielgrzymami być przestali, a jeśli byli nimi, to po błędnych manowcach, po drogach splątanych pielgrzymowali, i nogi, w tej wędrówce strudzone, już posłuszeństwa odmawiać im musiały.

A oto przybył Towiański, przybył, światło i objawienie niosąc nowe.

„Ciężką próbą, pisze Stanisław Falkowski, było dla nas tułactwo nasze. Szarpiąc się przez lata, straciliśmy siły nasze, uwięźliśmy w doktrynach i rezonowaniach. A nareszcie, gdy wszystko już nas zawiodło, nastąpiło wśród nas zniszczenie ogólne i niemoc, nastąpiła czczość i suchość wewnętrzna...” Trzeba by-

ło zatem jakiejs mocy nowej, jakiejs wiary potężnej, którąby można ożywić i pobudzić zmęczone i martwiejące emigrantów dusze; taką moc i taką wiarę wiózł Towiański.

Po długich szamotaniach i szukaniu bezowocnem, zdało mu się wreszcie, że mógł powiedzieć o sobie: „Bóg w miłosierdziu swoim rozwiązał dla mnie zawiłości; zobaczyłem rzeczy, jak one są, i odtąd ten ciężki krzyż niepokoju, który trawił ducha i ciało moje, zamienił się na krzyż lekki Chrystusa, jarzmo słodkie”. A widząc rzeczy tak, jak one są, zrozumiał i nie wątpił, i nie mógł wątpić, że tylko wielka jakaś, wszechogarniająca miłość może świat zbawić, jest świata przyszłości i szczęścia osnową i źródłem, — reszta to marność. A więc: „dla zrozumienia wszelkiej prawdy, jest jedna tylko droga, droga serca i uczucia, głupota dla Chrystusa”. „Nawet Bóg nie może zbawić człowieka, który wyłamuje się z pod prawa miłości i ofiary”. „Miłość nie ogranicza się tylko do bliźnich, ale ogarnia wszystko, co cierpi w ogromie Bożym, twory ożywione i martwe”. „Kto ma z duszy idące uczucie dla dziecka, dla zwierzątka, dla kwiatka, ten nie jest na

drodze do piekieł..." i t. d., wszystko sprowadzało się ostatecznie do jakiejś wielkiej, w źródle wszechrzeczy postawionej, miłości, przez nią miał być świat zbawiony, miał w królestwo Boże wejść, a Towiański miał być światem na drodze tej przewodnikiem, wysłańcem drugim Chrystusowym, następcą jego, wykładaczem; bo świat od praw Chrystusowych odstąpił i do uznania ich w rozszerzonej i wydoskonalonej formie świat odnowa trzeba powoływać.

A jego, Towiańskiego, Bóg wolą swoją naznaczył, jemu kazał objawienie głosić. Więc szedł głosić i wołać: — „Czujecie, bracia, — mówił w kościele w Nôtre-Dame, w Paryżu, gdzie zapowiadał najogólniej sprawę, którą potem wykladać miał szerzej, — Czujecie, bracia, jak wielce oddalił się świat od drogi zbawienia, jak zniża się w duszy, a podnosi w samym tylko postępie ziemskim. Zdeptana prawda, sprawiedliwość..., złe rządzi światem... Otóż, kiedy tym sposobem złe dochodzi szczytu i godzi już na zupełną zagładę chrześcijaństwa, Bóg w niewyczerpanem miłosierdziu swoim, dla ratunku człowieka, otwiera mu w Sprawie Swojej źródło światła i siły chrze-

ścijańskiej, aby człowiek tem światłem i tą siłą spełnił dopominek i wezwanie Boże, aby z manowców wszedł na prostą drogę" ... i t. d.

Na tem właśnie zasadzała się strona czynna nauki Towiańskiego, dalsze jej rozwinięcie było tylko opracowaniem szczegółów, podaniem środków do spełnienia dopominku Bożego, opartem na filozofii, którą znamy nie tyle z pierwszej, co z drugiej ręki, nie tyle z pism mistrza, co z ich interpretacji u Mickiewicza w wykładach literatury, albo u Słowackiego, w jego utworach, z Towianizmu urodzonych w Genezis z ducha, liście do Rembowskiego i t. p. Filozofia ta, mianem Mesyanizmu ochrzczona, miała również jeden zasadniczy i bardzo ważny punkt, który dał początek nazwie: — wiarę w posłannictwo i w epokową rolę jednostek. Poza tem wcielał w siebie jakieś konstrukcje panteistyczne, wierzył w metempsychozę, w doskonalenie się ducha ludzkiego, w jego twórczą na ziemi działalność, — miał skalę dość rozległą, przeważnie zapożyczonych, czasem samodzielnych tez, które w niejednakowym układzie widzieć można u Mickiewicza, i Sło-

wackiego, tych dwóch głównych Mistrza komentatorów.

Powiedziałem: komentatorów, a tu, zdaje mi się, tkwi błąd. Za takich uważano tych ludzi, uważani są za takich często i dzisiaj. Czasem, co do Mickiewicza, spotykamy twierdzenie przeciwległe zupełnie, starające się dowieść, że właśnie z jego pism zaczerpnął Towiański zasady swego Mesyanizmu: źródłem, z którego czerpał, miała być III część „Dziadów”. Zarówno wszakże jeden i drugi pogląd / płytki jest i błędny, a przede-wszystkiem jednostronny. A odkryć istotny stosunek pomiędzy pismami i działalnością Mickiewicza i Słowackiego, a nauką Towiańskiego, — to będzie naszym zadaniem.

Wiemy już więc, że się Towiańskiego nauka urodziła z bólu; jako tego bólu zaprzeczenie, musiała mu przeciwstawić coś, czem ból ten pokonaćby mogła, a tem czemś była wiara w twórczą moc wszechmiłości. Subiektem tej wszechmiłości w przeciwstawieniu do świata, pojętego najszerzej, będącego jej obiektem, — musiał być człowieczy duch, ideał człowieczego ducha, nadczłowiek, — stąd wiara w wysłańców, w pro-

roków. Ale wszak proroki przychodziły już na ziemię, wszak rozpoczynali już wielkie odrodzenia dzieło. Dlaczego nie dokonał z nich żaden, — oto dlatego, że na świecie żyje zło, które plany Boże krzyżuje, przeciwstawia im swoje burzące dążenia, a żaden z tych duchów prawodawczych dość nie miał mocy, ażeby zło zwalczyć i pokonać raz na zawsze. Dlaczego nie miał? Bo moc zdobywa się doskonaleniem ciąglem, podnoszeniem, ducha na wyższy coraz szczebel, a stosuje się to nie tylko do jednostek, które pracą nad sobą i podnoszeniem ducha mogą go doprowadzić do rozumienia rzeczy „niebieskich i ziemskich”, ale pracą pokoleń i wieków, pracą ducha przez tysiącolecia. Musi Duch taki iść przez życie szeregiem wcieleń, nieść mękę i walczyć, i w męce tej i boju nabierać mocy i hartu, ażeby stać się wreszcie najdoskonalszym, i najpotężniejszym, powalić zło, odsłonić Boże Królestwo. Tak może Chrystusa duch przeszedł wcieleń szereg, nim stał się tem, czem był, może takież szereg przed nim jest jeszcze, nim ostatecznego cudu dokona. — A droga daleka. — Więc *Me t e m p s y c h o z a*. — A jak dokonać tego cudu? — Jeżeli wielki Duch-twórca, duch zła burzyciel, po

dojściu do wyżyn rozumienia bytu, dochodzi do rozumienia Boga, bo Bóg jest Bytem, bo Bóg towiańczyków, to pojęcie panteistyczne nawskróś; jeżeli wchodzi z nim w jakiś kontakt, w jakiś stosunek stały, czerpie z niego moc swoją do walki i tworzenia, to znowu zadaniem jego będzie zaczerpnąć moc udzielić ludziom, udzielić światu, stać się pośrednikiem pomiędzy tym Bogiem, — bytu istotą i treścią, a tego bytu formą — życiem... Więc Plotyn, więc Platon, przepuszczony przez filtr filozofów renesansu, więc Michael Servetus, więc może, Aryusz, Piotr z Goniądza, arianizm polski XVI wieku, a ta ostatnia uwaga, mimo całą swoją pozorną dzikość, mimo, że żadnych wpływów i zapożyczeń aryańskich na towiańczykach wykazać nie można, wydaje mi się charakterystyczną niezmiernie.

Każdy, kto się choć odrobinę baczniej zastanowił nad aryańską filozofią polską, nad Czechowiczem, Grzegorzem Pauli, Budnym, kimkolwiek z tych ludzi, miecza nieuznających, nie może nie dostrzec jakiejś więzi wewnętrznej pomiędzy tą filozofią a tą, jaka się zrodziła we trzy wieki później u Towiańskiego.

Czy zbieżność ta pochodzi z jakiegoś rodowego pokrewieństwa? czy mamy tu do czynienia z tem, co można byłoby nazwać filozofią narodową? — być może, byłbym przynajmniej skłonny do takiego przypuszczenia.

Zresztą nie chodzi nam w tym przypadku o ustalenie przypuszczenia, czy doktryna filozoficzna Towiańskiego miała w Polsce już tak odległych poprzedników; ciekawszem byłoby to, że dziś znajduje następców w postaci, np. Lutosławskiego, ale i to nie leży w przedmiocie naszym, chodzi o duchowy do niej stosunek Mickiewicza i Słowackiego.

Pierwszy z nich odrazu stanął w szeregu towiańczyków, ściślej: był pierwszym jego adeptem i wyznawcą. A stało się to dzięki temu, że Towiański rozumiał, zapewne, dobrze, iż pozyskanie Mickiewicza, posiadającego, mimo wszystko, mimo całą ku niemu niechęć w rozmaitych stronnictwach emigracji, wpływ olbrzymi, było rzeczą pierwszorzędnej wagi; że z nim razem pozyskiwał siłę, której sam nie miał, że Mickiewicz mógł łatwiej, niż ktokolwiek szerzyć naukę. Przypomnę, od roku już wykladał on w Collège de

France: pozyskanie Mickiewicza było zarazem pozyskaniem mównicy publicznej dla nauki; więc też wszystkie starania skierował na razie Towiański ku temu, żeby Mickiewicza zdobyć, i dokonał tego łatwo, za pierwszym zetknięciem. Była w Towiańskim jakaś moc dziwna, którą pociągał ludzi; cały szereg drobnych faktów, spełnionych jakoby przez Towiańskiego przepowiedni, jakie Mickiewicz w piśmach swoich rzucał, nawet uzdrowienie żony Adama, nie były, zapewne, powodami dostatecznymi, ażeby w posłannictwo uwierzyć. Powodem takim była ta z Mistrza płynąca wiara w blizkie nadejście wypadków wielkich, przewrót niosących, wiara, którą Mickiewicz sam żywił, tylko nie był pewny, tylko osłabiała ją wątpliwości różne, a teraz, gdy spotkał człowieka, który przed nim własne jego marzenia rozsnuwał, oczywiście, wdzięcznym mu być musiał, tembardziej, że ten nowy człowiek tak mocno w spełnienie marzeń bezwiednie wspólnych wierzył.

I oto poddał mu się Mickiewicz, widząc w nim duch bratni, a potężniejszy, widząc w nim tę pewność i odwagę pewności, jakiej sam nie miał, a jakiej pragnąć musiał.

A Towiański był mu rzeczywiście duchem bratnim. I tu właśnie krytyka płytka i ciasna twierdzi, i twierdzi zajadle, że Towiański z III części „Dziadów“ umyślnie wybierał do nauki swojej wskazówki, żeby tem łatwiej Mickiewicza zdobyć. Oczywiście, twierdzenie, z którym walczyć nie warto. Do czegoż i dla czegoż miał pozyskiwać Mickiewicza Towiański, jeśli sam rozmyślnie filozofię swoją gruntował na tymże Mickiewicz, i to, kierowany aż nazbyt poziomami pobudkami?

Zależność pomiędzy doktryną mistrza Andrzeja, a teoryami Mickiewicza i nie tylko Mickiewicza, pochodziła, zdaje się, skądinąd. Oto, jak wiemy, emigracya miotała się w poszukiwaniu dróg, i tu odbywało się niejako kategoryzowanie duchów i ludzi, ustawianie ich w szeregi i oddziały z odpowiedniami napisami i znakami, stali więc demokraci przeciw arystokratom, stali fourjerzyści, oweniści, socjaliści, rojaliści, bonapartyści etc., etc. Stali mistycy i praktykujący katolicy, bracia zmarłychwstańcy i t. d. Wszystkich ich łączyła jakaś spólność i zbieżność duchowa, będąca właśnie zgrupowań tych podstawą.

Tak samo, jak każdy z tych prądów, tak

samo i Mesyanizm, tak samo i panteizm były i nurtowały długo już przed przybyciem Towiańskiego, a jeśli on miał możliwość wzięcia od Mickiewicza wiary w Posłannika, to z większym jeszcze prawdopodobieństwem wziął ją z Biblii i ze Swedenborga; stamtąd też zapewne, nie ze Słowackiego, wziął marzenia panteistyczne. I ciekawe jest to, że i po Towiańskim Mickiewicz został Mesyanistą przede wszystkim, Słowackiego pociągnęła i głębiej się w nim zakorzeniła metempsychoza i panteizm. Jeżeli nawet Towiański prorocztwa z „Dziadów“ zastosowywał do siebie, to nie było w nim to szarlataneria, lecz wiarą głęboką; robił to tak samo szczerze i „bezinteresownie“. Właściwością ludzi małych jest wszędzie widzieć małość.

Mając więc już przed oczyma niejako zasadnicze rysy doktryny Towiańskiego, możemy teraz przejść do jej znaczenia i rezultatów.

Więc Mickiewicz, kiedy jeszcze o Towiańskim nie wiedział nic, już pisał „Dziady“, gdzie idea o posłannictwie wyrażona jest całkiem nie dwuznacznie, idea o posłannictwie Słowiańszczyzny i Polski, która na tej Sło-

wiańszczyzny czele ma ludzkość do odrodzenia prowadzić, ma się stać wodzem narodów. A potem przychodzą „Księgi Pielgrzymstwa“, jeszcze jaskrawiej i dobitniej wyrażające tę samą myśl o Chrystusowości i posłannictwie, o mocy ducha, przez którą świat zbawiony będzie. Potem artykuły polityczne w „Pielgrzymie Polskim“, gdzie idea „Ksiąg Pielgrzymstwa“, przełożona niejako na język dziennika politycznego, wyrażona i podkreślona na każdym kroku, nabiera coraz dokładniejszych kształtów, krystalizuje się i udostępnia, opracowuje w szczegółach.

Wreszcie nadszły wykłady w Collège de France. Już po napisaniu Pana Tadeusza, nastąpił w Mickiewiczu ten przewrót, przypisywany wpływowi Towiańskiego, nie przewrót właściwie, lecz konieczny rezultat prostolinijnej w danym kierunku ewolucji, w postaci przekonania o niedostateczności poezji, jako środka działania, przynajmniej poezji takiej, jaką była ona dotychczas.

Więc na długo przed przybyciem Towiańskiego, pisze Mickiewicz w liście do Kajsiwicz: „Mnie się zdaje, że poematy historyczne i w ogólności wszystkie formy dawne

są już wpół zgniłe, i tylko można je odżywiać dla zabawy czytelników. Prawdziwa poezja jeszcze się nie narodziła, może tylko widzieć symptomy jej przyjścia. Zbyt wiele pisaliśmy dla zabawy, albo dla celów zbyt małych. Przypomnij sobie, proszę, słowa Saint-Martina: „On ne devait écrire de vers qu'après avoir fait un miracle“. Mnie się zdaje, że wrócą czasy takie, że trzeba będzie być świętym, żeby być poetą, że trzeba będzie natchnienia i wiadomości z góry o rzeczach, których rozum powiedzieć nie umie, żeby obudzić w ludziach uszanowanie dla sztuki, która zbyt długo była aktorką, nierządnicą lub polityczną gazetą. Te myśli często we mnie budzą żal i ledwie nie zgryzotę; często mi się zdaje, że widzę ziemię obiecaną poezji, jak Mojżesz z góry, ale czuję, że nie godzien zejść do niej. Wiem przecie, gdzie leży, i wy, młodzi, patrzcie w tamtą stronę...”

Już tu majaczyło się Mickiewiczowi działanie inne, już to pragnienie „rządu dusz“, o które modlił się w „Dziadach“, nabiera wyrazistości i dąży do wcielenia; to nie metafora, ale żywa realna żądza. A artykuły w „Pielgrzymie“, mówiły „o przyszłym wiel-

kim człowieku“, który miał ludzkość do odrodzenia prowadzić, o polityce czynu i słów czyn rodzających.

Potem już te względy, które skłoniły Mickiewicza do objęcia katedry w Collège de France, wiązały się blisko z tem jego usposobieniem ducha łaknącem i rządu dusz. Otwierała się przed nim możliwość przemawiania bezpośrednio żywym głosem do ludzi, ta pokusa tak ponętna dla każdego, kto ma coś do powiedzenia, a Mickiewicz miał do powiedzenia wiele.

Jeśli weźmiemy pierwszy rok wykładów, to już w nim jest wszystko to, co później rozwinęło się może tylko jaskrawiej i ostrzej zaznaczyło. Na razie te same idee, będące treścią ostatniego roku wykładów, stroją się tylko w jakąś szatę przenośni, przykładu; wskazując ideały chrześcijańskie nawskróś i podniosłe, obce interesom ziemi. Wszystko, poczynawszy od ogólnych zjawisk życiowych, kończąc na pojedynczych ludziach, staje się, jakby stworzonym po to jedynie, żeby tezę profesora udowodnić, ludzie i wypadki odbiegają może w jego przedstawieniu od tego prawzoru, z którego je zaczerpnął, ale nie-

mniej są żywe i rzeczywiste, a życie to biorą z Mickiewicza i duszy jego, którą wkładał w słowa swoje.

I sposób, w jaki fakty grupuje, oświeć, w jakim stawia ludzi, wszystko to pochodzi z niego i z tych jego właśnie marzeń, które pod wpływem Towiańskiego nabrały tylko pewności i trwałości, może bezwzględności większej.

Weźmy zatem pierwszy rok jego wykładów, kiedy jeszcze Towiańskiego w Paryżu nie było, a zobaczymy tam poza odgłosem tych artykułów i całego wyznania politycznego, znanego już z „Pielgrzyma“, znajdziemy coraz jaśniej, coraz konsekwentniej wyrażającą się tezę, która pod wpływem Towiańskiego miała nabrać cech objawienia, rewelacji i już w tej nowej formie wyjść z ust profesora.

Tymczasem poprzestaje na omówieniach; a więc, mówiąc o literaturze polskiej, kładzie nacisk główny na tych pisarzy, którzy mu mogą za przykład służyć, którzy dają mu możliwość mówienia o ustroju politycznym, a nawet pomimo pisarzy ustrojowi temu poświęca wiele czasu, podkreślając w nim cechy

zasadnicze i charakterystyczne, formy, które wydawały mu się doskonałymi.

A takimi doskonałymi instytucjami wydają mu się te, które wypływały z idei chrześcijańskiej.

Mickiewicz już od niejakiego czasu oddawał się rozmyślaniom mistycznym; pochłaniały go pisma ks. de Lammenais, Saint-Martina, Boehmego, a nawet widzenia Katarzyny z Emmerich, w których się rozczytywał i wgłębiał. Emerson i marzenia Swedenborga o królestwie duchów, którego ustrój był niejako zapożyczony z Polski, na co Mickiewicz w wykładach uwagę zwracał. Wszyscy ci filozofowie kłaniali się do chrześcijaństwa, do szukania w nim rozstrzygnięcia pytań trawiących. Jednocześnie i wśród emigracji, przynajmniej pośród pewnych jej grup, rozpoczynał się rozrost mistycyzmu, powstał jakiś „domek Jańskiego“, którego założeniu czynnie dopomógł Mickiewicz, a gdzie schodzili się uczestnicy po to, by pędzić czas w praktykach religijnych i modlitwą zdobywać odkupienie; mieli oni wyłonić z siebie zakon zmartwychwstańców. A i inne świeckie jakoby zakony powstawały w emigracji, a

powstawały właśnie pod wpływem i przy współdziałaniu Mickiewicza. Wogóle więc zaznaczyć należy ten zwrot ku Chrystusowi, zrozumiały aż nadto u ludzi, którzy nie znaleźli ukojenia na żadnej z dróg ziemskich, a zwrot ten przedewszystkiem ogarnął Mickiewicza, prawie że wyszedł od niego; nic dziwnego zatem, że i w wykładach czuć było te chrześcijańskie dążenia, w połączeniu z dążeniami politycznymi, ubierające się w formę marzeń o jakiejś polityce chrześcijańskiej, polityce miłości i prawdy, która miała stanąć na gruzach panującej polityki interesu.

Wracając do polityki polskiej, widział w niej, jak wiemy, Mickiewicz urzeczywistnienie, częściowe przynajmniej, ideału polityki chrześcijańskiej. Jej wyrazicielami, działaczami, byli, według Mickiewicza—Jagiellonowie. I oto „kilka słów o Długoszu, o wielkim historyku, ukazującym się na początku epoki Jagiellonów“. „Dzieła jego tworzą cały osobny system moralny i polityczny, który możnaby nazwać systemem jagiellońskim, bo wszyscy późniejsi pisarze historyczni pod Jagiellonami przyjmują i rozwijają jego myśl“. System ten „wytacza się cały z jednej idei moralnej, albo le-

piej mówiąc: chrześcijańskiej. Według Długosza, istotna siła leży tylko w prawdzie, a przez prawdę rozumieją się tutaj zasady Ewangelii, jak je kościół przyjął i stosował natenczas. Prawda ta używa czasem za narzędzie namiętności i widoków ludzkich, ale prawie zawsze tak, że ludzie sami o tem nie wiedzą; stąd to wynika, że najczęściej siła prawdziwa, rzeczywista, płodna zbija interesy i siły ziemskie, pozorne...Bo dla niego wygrana nie zależy od talentów wodza i od waleczności żołnierzy. Jeżeli zdarzy się Polakom ponieść klęskę w boju, Długosz zamiast sądzenia rozkazów wodza i obrotów każdego oddziału, dopytuje się naprzód: jak wojsko sprawowało się w marszu? czy nie ciemieżyło kraju? czy zachowywało wszystko, co kościół przepisuje?—i tym sposobem dochodzi przyczyn złych lub dobrych powodzeń w wojnie. Niemasz potrzeby mówić, że i w polityce trzyma się tego samego prawidła“.

Charakterystyczny jest ustęp ten bardziej jeszcze dla Mickiewicza, niż dla Długosza, jako *credo* jego polityczne, a nie wiem, czy różni się tak bardzo od głoszonych przez Mesyanizm zasad.

A dalej przechodzi Mickiewicz do Reja, który daje mu możność podziwiania ustroju społecznego Polski. Porównywa profesor „Żywot człowieka poczciwego“, z Montaigne’em i Castiglione, jak uprzednio porównywał Długosza z Macchiavellim i Filipem de Commines, poto, żeby wykazać wyższość duchową i moralną polskiego pisarza nad tamtymi. I oto niektóre strony tego życia Polski nabierają barw jaskrawych, i podnosi i uświęca je Mickiewicz, wskazując leżące w ich osnowie zasady szlachetne. Słowa Reja dają mu tylko pobudkę, a dalej już sam snuje, i widzimy tu już nietylko profesora. Staje on przed tłumem i mówi mu: Fałszywą drogą idziecie, był naród, co znalazł drogę do prawdziwej zbliżoną, i chciał nią iść, ale nie mogliście go pojąć.

Przy Batorym znów wraca do pytań polityki zewnętrznej, podnosząc w królu tym ideał chrześcijańskiego monarchy, spadkobiercy Jagiellonów. Ale najgoręcej, najsilniej przemawia przy Skardze. I wyrasta w słowach Mickiewicza Skarga na ideał kaznodziei i patrioty, wznosi się może daleko wyżej, niżliby go mogła postawić krytyka historyczna zimna

i bezwzględna. Tak samo Skarga, jak, później nieco, ksiądz Kordecki, nabierają u Mickiewicza tych cech wielkich mężów, proroków niemal, streszczających w sobie wszystko najlepsze, co miał duch polski. „Niełatwo ukaże Polska człowieka, któryby miał gieniusz czynny tej potęgi, jakim był gieniusz bierny tego człowieka“ — mówi o Kordeckim. Czy byli ci ludzie takimi rzeczywiście? czy nie poznamy w nich, braci po duchu ks. Piotra z „Dziadów“? Zapewne tak, być może, że od ścisłej rzeczywistości odstąpił tu Mickiewicz: malował tych ludzi nie takimi, jakimi byli, ale jakimi chciał ich widzieć, jakimi powinni byli być. A to właśnie, że ich malował tak, to, co w nich dostrzegał i podkreślał, charakteryzuje jego samego przedewszystkiem i dlatego posiada dla nas wagę i znaczenie.

A wszystko to było przed Towiańskim. Jeżelibyśmy porównywać teraz chcieli treść wykładów, wytyczne ich punkty z ostatnich lat, z lat, kiedy wpływ Towiańskiego był już wielki i niezaprzeczony, to nie znaleźlibyśmy różnicy istotnej żadnej. Jak przedtem, pisarze wieku XVI, tak obecnie pisarze współcześni, tak samo dowolnie wybrani i przedstawieni,

służą za materiały dowodowe dla twierdzeń i tez, dla objawienia idei, którą Mickiewicz chce słuchaczom swoim zaszcześcić. „Będzie to naszą powinnością, — mówi na początku drugorocznego kursu, rozpoczętego już pod znakiem mistrza Andrzeja, — wyłożyć o ile można tę ideę, do której naród słowiański dąży“. Ale równie dobrze ideę tę wyłożyć starał się i przedtem, zmiany więc żadnej. A jeśli jest zmiana jakaś, to tylko w sile, z jaką twierdzenia swoje wypowiada, w bezwzględności ich i bezpośredniości, w tem, że coraz mniej zaczyna się oglądać na materiały, faktyczny, dostarczany przez literaturę i historię, a coraz bardziej poświęca się wyznawaniu i głoszeniu tej właśnie idei. Ale to pochodzić może po pierwsze, z ewolucji wewnętrznej, która się w nim odbywała już zdawna i doprowadzić musiała stopniowo do tego właśnie rezultatu, po drugie z tego, że pisma społeczne, wszystkie tym samym duchem przesiąkłe, dawały bogatszy w tym względzie materiał. Niepróżno mógł poświęcić rozbiorowi „Nieboskiej Komedyi“ całą seryę wykładów, całe półrocze niemal.

Ani hołdowanie ideałom chrześcijańskiej

polityki, ani cześć dla Napoleona, ani wiara w przyjście wielkiego człowieka przyszłości — nic nie było Mickiewiczowi obce, wszystko to wypływało z jego działalności już przed Towiańskim, wszystko to było jego własnym ducha tworem.

Cóż wziął zatem od Towiańskiego? Bo wszak zaprzeczyć się nie da, że wziął, że wpływowi jego uległ, że przez czas jakiś przynajmniej był jego wiernym wyznawcą.

Odpowiedzią na to pytanie, częściową przynajmniej odpowiedzią, może być ta uwaga, którą zrobiłem na wstępie.

Mickiewiczowi nie stawało jeszcze ostatecznej pewności, głębokiego przekonania i wiary, wątplenia prześladowały go różne. Łatwo jest powiedzieć coś i rzucić wezwanie jakieś ludziom w poetyckiej formie symbolu, lub przerośni, łatwo i w dzienniku programowym głosić jakieś nawet bardzo przewrotowe poglądy, ale przysiąc, że się w nie wierzy, trudniej, ale stanąć oko w oko z człowiekiem i wołać go do tego czynu, ale z całą świadomością wziąć na siebie odpowiedzialność za swój wyzew, za świętość i niewzruszalność prawdy, którą się głosi — trudniej.

I Mickiewicz, kiedy mu przyszło wreszcie mówić, żywym głosem, brać dusze słuchaczy i pokazywać im drogę, nie mógł się odważyć na to. Chciał stopniowo wszczepić przekonanie o prawdzie swoich słów w słuchaczy dusze, chciał ich pociągnąć siłą dowodową, siłą faktów, zgodnie ze swoim stanowiskiem profesora, chciał „literaturę wykladać“, wykladać, to jest tłumaczyć ją i wykazywać jej istotę, przyczyny i cel. A jeśli cel ten jest prawdziwy i święty, to go słuchacze pojmą i pójdą za nim. Kontrolował niejako sam siebie, a razem robił ustępstwo, jakby na rzecz tych możliwych wątpliwości.

I tutaj przyszedł Towiański. Ten nie wątpił, ten miał całą olbrzymią fanatyczną wiarę jakichś reformatorów, twórców sekt. I wiarę tę Mickiewiczowi wszczepił. Wszystko to, co w Mickiewiczu kielkowało, albo wzrastało już, ale się nie wzmocniło jeszcze i nie skonsolidowało ostatecznie,—wszystko to nabiera mocy i pewności pod wpływem Towiańskiego wiary. Psychologicznie jest to zrozumiałe zupełnie, a materiału dowodowego mogą dostarczyć obficie wykłady w Collège de France, dostarcza go na każdym kroku życie. Przed

Towiańskim mówił już Mickiewicz o idealności ustroju Polski, ale dopiero pod wpływem Towiańskiego powiedział wręcz: Swedenborg, opisując duchów królestwo, dał, jakby odbicie życia Polski; przyszły ustrój świata ma być według tej modły, według tego wzoru ukonstytuowany. Przed Towiańskim miał, jak wielka zresztą liczba Polaków, cześć dla Napoleona, ale dopiero za Towiańskiego pobudką powiedzieć miał: „Zdaniem naszym, nie masz równego komentarza Ewangelii, jak tych kilka kartek, spisanych przez generała Montholma z rozmowy z Napoleonem. Napoleon pojął i wyłożył boską naturę Chrystusa lepiej, niż jakikolwiek teolog. Bo też Zbawiciel przyszedł na świat, aby działać... Kościół Chrześcijański nie powstał z doktryn teologów: wytrysnął z ran Boga-Człowieka; krew jego dała mu życie...”

Co tu uderza przedewszystkiem, to ta okoliczność, że, jak wiemy, Towiański podawał w wątpliwość boskość Chrystusa. Uczeń więc w tym względzie rozbiega się z Mistrzem. Uderza także i to, że Towiański mimo wszystko daleki był od czynu pozytywnego, od jakiegoś wielkiego wysiłku, bezpośrednio ciągnącego

za sobą zjawisko zewnętrzne, szczególnie w chwili, kiedy Mickiewicz to mówił, Towiański już był się całkiem od działania odsunął, poprzestając na kontemplacji tylko i podawaniu tonu braciom, nie troszcząc się o dalsze skutki, o przyjęcie tonu. Mickiewicz wciąż przecie wielbił czyn, wielbił go bardziej coraz. Już pomiędzy nim, a Mistrzem następował rozłam.

Dalej przed Towiańskim wierzył Mickiewicz, w posłanictwo duchowe Słowiańszczyzny i mówił o nim, ale dopiero za sprawą Towiańskiego miał powiedzieć, stawając niejako w roli przedstawiciela i wysłannika tej Słowiańszczyzny, zwracając się do ducha i gieniuszu Francji, miał rzucić jej wezwanie, wołać ją do czynu. „Gieniusz Francji nie jest to dla nas jakieś wyobrażenie oderwane: my umiemy go poznać, myśmy go znali niegdyś, a ilekroć ujrzeliśmy go, nie wahaliśmy się pójść za nim. Ukazał się nam był naprzód z oryflamem Karola Wielkiego: poddaliśmy się jego prawom i walczyliśmy obok jego Palladynów. Niedawno przyleciał do nas na skrzydłach orłów cesarskich: przyjęliśmy jego kodeks i poszliśmy z nim wojować po całej

Europie. Gdzież on jest teraz ten gieniusz?.. On niegdyś wyobrażenia swoje narodom ostrzem lanc wrażał, strzałami dział ogłaszał; ustawy swoje pisał pod cieniem chorągwi i wawrzynów wojennych. On dobywał czyn, wyzywał do czynu. Polska odpowiedziała na wszystkie wasze wezwania. Wstrząśnienie, które w dniach lipcowych poruszyło bruk paryski, podniosło całą staropolską ziemię; kule karabinowe, które wyganiały u was rząd dawny, przeleciawszy cicho przez Niemcy, przemieniały się na naszym gruncie w granaty i bomby... Żądamy od was, żebyście powiedzieli, gdzie jest ów gieniusz lipcowy, gieniusz Francji?

Albo, jeżeli nie, to będziemy żądali, abyście wy poszli za naszym gieniuszem, za nami, za naszym człowiekiem“.

Ale i tutaj ta sama zaznaczona między Mistrzem, a Uczniem widnieją różnica, ta sama apoteoza czynu, kul świszczących, granatów i bomb, ten sam wyzyw, od którego Towiański, był bądź co bądź daleki: Uczeń poszedł dalej od Mistrza, własną sobie torował drogę, drogę będącą całkowicie w zgodzie, dalszem prostolinijszym przedłużeniem tej, na

jaką wstąpił, jak widzieliśmy, już wcześniej, już przed Mistrza przybyciem.

Wprawdzie Mickiewicz przed Towiańskim nie byłby może pojechał do Rzymu pozyskiwać papieża dla Sprawy, ale przecie i ten wyjazd jego był Towiańskiemu obcy: wszakże Mistrz powstrzymał w tem Ucznia, i miał mu za złe jego do czynu tęsknotę. Wszakże nie z Towiańskiego szły te słowa namiętne, mocą olbrzymią i wiarą natchnione, któremi wołał do ludu w Medyolanie: „Wy, Medyolańczycy, okazaliście, jak zdobywać wolność, okazaliście, że wolności nie dostaje się darmo, ale bierze ją siłą! Mamy wspólny interes, obowiązki wspólne i wspólnego wroga—Cesarstwo Austriackie. My, Polacy, kierujemy się ku naszej Ojczyźnie, ale droga, która nas tam wiedzie, prowadzi po gruzach tego cesarstwa. Niema dla nas innej drogi do Ojczyzny. Wskrzeszające się narodowości zwiastują śmierć światu staremu... Panowanie religijnej obludy, zimnego okrucieństwa, dyplomacyi, rząd bez duszy i wewnętrzności ma się zakończyć. Już świat nowy, nowe siły powstają zewsząd...”

Jak daleko odbiegły te słowa od Mistrza

Andrzeja nauki. Gdzież praca ducha wewnętrzna i cicha? Jakiś huragan czynów, burza działania kotłuje się w tych piersiach wiejszcza-proroka, już nie poety, i wybucha olbrzymiem wołaniem, przez krew, przez śmierć i gruzy naprzód, po to, żeby siać wolność ludom, po to, żeby ideały wszechmiłości zapanowały nad zburzonym światem i odrodziły go w słońcu, po to, żeby dać: „Izraelowi, bratu starszemu, uszanowanie, braterstwo, równe we wszystkim prawa; towarzysze żywota—nie wieście braterstwo i obywatelstwo, równe we wszystkim prawa.”

Cel więc może pozostał ten sam, który i Towiańskiemu świecił, ale droga była różna, nie przez praktyki mistyczne i bierne udzielanie tonu, lecz przez czyn i krew wiodła, a była ona znów tylko prostolinijnym rezultatem całego życia, całego wewnętrznego rozwoju ducha Mickiewicza.

Jeżeli Mickiewicz był przede wszystkim wielkim człowiekiem i duchem wielkim, który tylko dlatego został królem poezyi, że mu się spodobało czas jakiś wyrażać wielkość

swego ducha mową wiązaną, to Słowacki był przede wszystkim poetą. W wyrazie tym zamyka się cała jego istota. Daleki od życia i czynu, do czynu tego wprost może niezdolny, cały roztopiony i rozsnuty w wizjach promienistych tysiącami blasków płonących, słonecznych i księżycowych, całą duszą wyniesiony w dziwną gwiazdzistą krainę marzeń i snów, inaczej też przyjąć musiał Towiańskiego i jego naukę.

I on przeczuł ją, i on do niej dążył nieświadomie, dążył może nietylko do tej nauki, co do tego jakiegoś nowego marzenia, wizji nowej, którą nasycił i napoił wziętymi od Towiańskiego siłami.

I on był mesyanistą przed mesyanizmem. I on wierzył w potęgę duchów możnych, co na ziemię przychodzą poto, by ludzkości przodować, i on czcił Napoleona, jako jednego z takich duchów wielkich, nim jeszcze począł Towiański swój kult Korsykańczyka głosić. I jego Kordyan już był takim gieniuszem przodownym, a Anhelli stanął bezwzględnie w roli przedstawiciela mesyanizmu.

Ale zupełnie co innego, niż Mickiewicz, wziął od Towiańskiego Słowacki. On,

mówię, był od czynu daleki, więc nie mógł znaleźć w Mistrzu do czynu pobudki. On snuł rojenia poetycko-mistyczne o tem, że w alabastrowym sarkofagu egipskim umarły, z sercem na długi senny zabalsamowanem żywot leżący, Ramazes z siostrą i żoną swoją, zbudzi się kiedyś, zbudzi w innym obcym cieple; jego przykuwała myśl o doskonaleniu ducha, przez pokolenia i wieki, aż nim dopadnie do szczytu potęgi, aż nim Bogu stanie się równy; do niego mówił Bóg z każdego kamyka i każdego kwiatu, z każdej kropli wody, wiosłem trąconej na Nilu, z każdego zbłąkanego nad morzem żórawia.

I oto, jeśli u Mickiewicza Mesyanizm staje się teorią czynu, teorią działania, nakłada na niego obowiązek walki, to ten sam Mesyanizm u Słowackiego staje się filozofią i metafizyką, staje się panteizmem i metempsychozą. A na tem tle wyrasta cały filozoficzny systemat, na ewolucyi i doskonaleniu ducha oparty, panteistycznego ducha, świata i bytu stwórcy, niestrudzonego form kowala, buntownika przeciwko złu, kiedyś w przyszłości zwycięzcy, i słońca, i szczęścia hojnego rozdawcy.

Ale dziś nie nadeszła godzina, dziś czyn, uwięziony w niedoskonałości form i środków, nie może się jeszcze ujawnić i uzewnętrznić, musi pokutować uwięziony w sarkofagu alabastrowym z duchem Ramazesa, który prze-rodzi się teraz z historyczno-legendowej postaci w postać rewelacyjno-mistyczną, stanie się Helionem, duchem-słonecznikiem, w słońce idącym.

Jeżeli Mickiewicz-Towiańczyk będzie z katedry głosił sprawę Bożą i do służby jej nawoływał, jeżeli będzie w imieniu Polski — gieniuszowi Francuzów wyzew rzucał ostatni i wielki, jeżeli pójdzie do Rzymu tworzyć legion i na czele dwunastu młodzieńców wyruszy na zburzenie starego porządku, Austriackiego Cesarstwa, to Towiańczyk-Słowacki będzie pisał Genezis z Ducha i List do Rembowskiego, Króla Ducha i Samuela Zbrowskiego, będzie odslaniał w wizyjnych marzeniach tajemnice bytu i opowiadał tylko ducha zwycięstwa i porażki. Sam, co najwyżej, po dniach lutowych pojedzie do Poznania, może w nadziei, że i dla niego Bóg jakiegoś czynu spełnienie wyznaczył, ale w nadziei słabej, z pragnieniem niedostatecznym. Jego

pole nie tam, jego królestwo nie w działaniu, lecz w słowie i tem słowem będzie walczył.

Ale i on będzie od Towiańskiego daleki, i on nie spadnie do roli reformatora religijnego, jakim koniec końców stał się Towiański, i przed nim, jak przed Mickiewiczem, staną szersze i większe zadania. Tylko, jeśli Mickiewicz zgodnie z tym duchem, z tą miłością świata i ludzi gorącą, która była istotną jego duszy cechą, pójdzie, aby wołać ten świat do walki o szczęście, to Słowacki, znów zgodnie ze swego ducha istotą, stanie królewski i dumny, otoczy się błyskawicowym światłem dziwnego proroka i twórcy, i stamtąd rzucać będzie słowa, które będą szły echem przez pokolenia; będą szły i uderzały w pustkę piersi człowieczych, puste stamtąd dobywając echa: będą szły i szukały jednej piersi Fidyaszowej, żeby w niej się osiedlić.

Mickiewicz odwoływał się do gieniusza Francji, budził ducha medyolańczyków, chciał dobyć słowo błogosławieństwa od papieża. Słowacki nie oglądał się na nikogo. Oto tego samego dnia prawie, kiedy Mickiewicz w Medyolanie Włochów natchnioną mo-

wą rozplomieniał, pisał Słowacki w dzienniku swoim przedśmiertnym:

O krzyż Cię proszę modlitwą gwałtowną,
o krzyż i siłę przed rozdarciem ćwiekał
Całemu światu lampą tak cudowną
stać się—gdzież większa jasność dla człowieka?
Panie! nie jest to, Panie, modlitwa nabożna,
ani prośba tytana, który o krew woła —
Panie! bo złych inaczej przerobić nie można,
tylko w śmierci godzinę miłością anioła.

Może trzeba byłoby dalej tę różnicę wyjaśniać, może trzeba byłoby teraz sięgnąć po przykłady i fakty, po szczegóły biograficzne i daty, przeszukiwać rozmaite studia i zbiory, walczyć z niemi, albo je przyjmować; może trzebaby było, temat rozwijając dalej, prześledzić dokładnie myśli i rozwój ich u obu tych ludzi, mówić o tej walce, którą staczać musieli, ale chodziło mi tylko o wrażenie, i wrażenie to starałem się oddać.

Widzimy więc dwóch ludzi, na krańcach stojących przeciwnych: jednako wielcy obaj, zawsze jednako byli sobie dalecy. Zdawało się raz, iż się zetknęli, ale zetknięcie to było pozorne: zetknęli się w tem, co było im

wspólne zawsze, zetknęli się w ostatecznym celu, a tym ostatecznym celem było królestwo Boże na ziemi, było szczęście, jako życia synteza pojęte; zetknęli się i rozeszli; jeden poszedł przez bój i krew, drugi przez pracę ducha i ducha piorunowe burze.

Obaj mieli jednaką moc, ale moc ich obu rozbiła się o fatalność przeznaczeń.

Obaj umarli z wiarą; jeden na posturunku, drugi wierząc, że słowa jego będą światu biczem i pochodnią: popędzą i drogę pokażą.

Przeszły lata. Zbudziwszy się dziś, czy nie straciliby wiary?



Słowackiego Samuel Zborowski.

„Lata 1583 dnia 12 czerwca w Krakowie na zamku, król Stefan, synowicy swej Gryzeldzie wesele sprawował, którą wydawał za Jana Zamoyskiego, kanclerza i hetmana koronnego... Tydzień prawie cały one wesele trwało... W rynku były gonitwy rozmaite i maskary dziwne się pokazywały. Wszystkie kamienice w rynku ludzi pełne, co na to patrzyli, król sam i z królową w Szpiglerowej kamienicy był. Siedm par na ostre goniło... Potem maskary przyjechały. A naprzód Mikołay Wolski, miecznik koronny, wyjechał z kamienice pod Barany, po Murzyńsku ze wszystkim poczem kosztownie ubrany, na wozie pozłocistym, i miał ośm trębaczów po Murzyńsku także ubranych, i więc szedł Elephant, na którym była wieża, z której rozmaite race i kunszty puszkarskie szły... Potem Mikołay Zebrzydowski, dzisiejszy marszałek koronny na wozie przyjechał. Wóz ciągnęły

godziny, 12 dziątek białych, także wiele czar-
nych, gwiazdy po nich; białe trzymały prawą
stronę, czarne lewą, łańcuszkami srebrnymi po-
wiązane, a wszystkie miały zegarki na głowie.
Siedział na wozie Saturnus z brodą siwą, ko-
sę w rękę trzymał, Czas on wóz poganiał,
mając także zegarek na głowie, za którym szło
Słońce łańcuszkiem uwiązane i Miesiąc... Za-
tem wyjechał Stanisław Miński, mając wóz
na sferach obłokiem nakryty, co było z ba-
wełny misternie uczynione, ten wóz ciągnęli
trzej orłowie i siedział Jowisz na owym wozie,
przed nim łyskania były straszne, zaczę-
cie onego obłoku doszedł, tak aż on bóg
sam z woza uciekać musiał, jednak ugaszo-
no..." (Bielski). Potem szły tryumfy Moskiew-
skiej wyprawy i jeszcze maszkar rozmaitych
szereg przewijał się w barwnym, wspaniałym
pochodzie przez rynek krakowski.

Bo nie działo się to we Florencji, ani
w Medyolanie, nie Medicis, i nie Borgia był
świętą ośnową, to było wesele Zamoyskiego
hetmana z Gryzeldą Batorówną, synowicą
królewską. Było bogactwo i przepych, była
beztroska ludzi w potęgę swoją wierzących,
był pełny dech mocy, jakiegoś może upoje-

nia życiowego. Wesele łączono z tryumfem,
a wszystko razem święcone było pięknie i
pysznie, wspaniale, wesoło i bez troski.

Potęga Polski dochodziła wówczas zenitu,
zaczynał się może w niej przełomowy mo-
ment. U steru władzy stał Zamoyski, ten mąż
potężny, mądry i wielki, mąż jakich niewielu
ma historia świata, który umiał ogarnąć myślą
położenie kraju, umiał wytknąć sobie drogę,
i, gdyby się był na tej drodze nie rozbił,
może by doszedł,—a może zresztą fałszywą
była jego droga.

Zamoyski, jak się zdaje, dokładnie rozu-
miał położenie, a jeśli dla nas czasy jego wy-
dają się poniekąd szczytem zewnętrznej i we-
wnętrznej mocy, najwyższym punktem, do ja-
kiegośmy podnieść się mogli, to dla ówczes-
nych ludzi tajemem nie było, że w ustroju
Rzpltej wiele rzeczy domaga się reform gwał-
townie, że konieczną jest silna dłoń kiero-
wnicza, koniecznym trwały i pewny cel.

Wszakże to czasy, kiedy kazał Skarga, a
Skarga był tylko jednym z licznych nawoły-
waczów do pokuty prorokujących przyszłość
straszną. Orzechowski „gromił biedną Pol-
skę ustami wszystkich proroków Izraelskich,”

Łukasz Lwowczyk na kazaniu w Przeworsku wszystkim włosy pojeżył, Melchior z Mościsk wskazywał palcem ziemię, jak niegdyś, na pożarcie bezbożników rozstępującą się, doktor Wojciech z Pilzna krzyczał, a krzyczał: „zginiemy, zginiemy, król ten umrze, żaden po nim nie nastąpi!“, (Ossoliński, III, 124), a przecież inni i jeszcze inni rozmaitemi grozili plagami.

Co prawda, w większości wypadków plagi te miały przyjść, jako skutek religijnych nowinek, co się dość już gęsto przekradały do Polski, ale i wady politycznego ustroju nie były tajne, czy to temuż Skardze, czy Modrzewskiemu, czy choćby Wolanowi, nie były tajne i Zamoyskiemu, który, jak nikt inny, ustrój ten poznał, przez trzy lata studiując archiwa, a potem sam mu przodując. A przytem była to „ambicya wielka, żądza chwały i rozum niepospolity“, zrozumiał więc Zamoyski łatwo, że „przedewszystkiem trzeba nabyć wziętości u szlachty i tutaj trybuńska powaga zaczęła mu się uśmiechać“. (J. Bartoszewicz).

Począł więc popularność zdobywać. Rozum jego, umiejętność zyskiwania stronników były wielkie, odrazu też stanęła przy nim

szlachta, której nie było znów zbyt trudno zaimponować i względy jej pozyskać, byleby utrafić w treść jej żądań, a potem już można było nawet powodować bez trudu.

Uczył tak Zamoyski na elekcji Henryka, gdzie, wysuwając na pierwszy plan prawa szlachty, pozyskał jej sympatyę, a w dwa lata potem mógł już wedle woli rozporządzać tronem, i, mimo oporu magnatów, oddać koronę Batoremu.

Pomóc w tem musiał dar słowa, zdolność przekonywania, bo przy wyborze Batorego, walcząc w imię Piasta, tak samo zyskał poklask, jak przedtem, Piasta zwalczając. Dyalektykiem zatem być musiał, może sofistą, zresztą to najważniejsza, że panował nad tłumem i drogę tę, przez szlachtę do wzmocnienia potęgi państwa, obrał.

Z początku wiodło mu się całkowicie. Linia jego losów szła w górę, potęga woli kanclerskiej wzrastała; na tronie siadł przyjaciel i wdzięczny protegowany, król Stefan, niebawem hetmański powinowaty. Szlachta, niebezpieczny i burzliwy element, opierała się czasem woli kierowników, ale przewagę

miał jeszcze Zamoyski i prowadził, jak chciał i dokąd.

I oto dwa wytyczne w jego życiu punkty, jeden — wesele z Gryzeldą, drugi — ściecie Zborowskiego, znaczą przełom, po nich upada Zamoyski, jako kierownik, polityczny państwa, a ono poczyną żreć się wewnątrz, słabieć nazewnątrz i t. d., i t. d.

Naturalnie z punktu widzenia krytyki historycznej nie można uzależniać od swadźby Zamoyskiego upadku państwa, ale momenty te z życia człowieka i Rzpltej zbiegają się i łączą, jakby jakąś wewnętrzną więzią spojone. Ślub z Gryzeldą wyniósł Zamoyskiego wysoko między magnackimi rodami, łaska królewska dała mu bogactwo wielkie, władzę miał, — a był to przecie *homo novus*, senatorscy przodkowie jego nieliczni. I przedtem nie lubiła go magnaterya za trybuństwo, ale niemiłość ta, rosnąc coraz bardziej, kazała wreszcie zająć względem niego stanowisko wrogie, a ślub z Gryzeldą był jedną z tych kropel decydujących.

Drugą, ważniejszą nierównie, było ściecie Zborowskiego. Jednego z najznakomitszych rodów potomek, Samuel, syn Marcina, Zbo-

rowskiego, (z Anny z Góry Konarskiej), był tym kamieniem, o który potknęła się noga Zamoyskiego na drodze do zwycięstwa.

Podczas koronacyi Henryka, kiedy zebrane rycerstwo na cześć króla urządzało gonitwy, wśród 24 kopii, wetkniętych w ziemię, czekających wyzwania, była i kopia Samuela. A wyjął ją kroata Janasz, sługa grabi z Tęczyna. Za obrazę uznał to sobie Zborowski i zwał do boju Tęczyńskiego, — przeciw kroacie zaś, posłał Monczyńskiego, sługę swego, kroata Monczyńskiego ranił, co Samuela wprawilo w gniew, a Tęczyński stać się zwlekał. I gonitwy już się ku końcowi miały, i sarkając Zborowski z poczem swym już miał odjeżdżać, gdy we wrotach zamkowych spotkał hrabiego z Tęczyna, uzbrojonego w dworzan i sług orszaku. Wszczęła się kłótnia, spiąwszy konie, rzucili się wzajem na siebie, chciał ich rozbroić Wapowski, lecz Samuel uderza go w głowę czekanem dwa razy. Zamieszanie wynikło większe jeszcze, Samuel podobno z rusznicy raniiony został w nogę. Wapowski zaniósł skargę do króla. Wapowski umarł w kilka dni, a Zbo-

rowskiego wywołano z kraju, wszakże czi nie ujmujać.

Błąkał się po świecie Zborowski; był w Siedmiogrodzie u Batorego, być może on go nawet ku tronowi polskiemu skierował, być może w sercu Gryzeldy pięknej młodzian wojowniczy isierkę jaką miłości rozdmuchał. Był potem u kozaków niżowych hetmanem, aż się o nim do dzisiaj zachowały pieśni, jak śród burzy na morzu Czarnem, kiedy się okręty w falach zatapiają, „Zborowski, ataman kozacki zaporoski, przechadza się po okręcie“. I szeroko o wyprawach i czynach Samuchy Paprocki Bartosz w Koronie Polskiej pisze, jak kozaków do boju wiódł i męstwa im, gdy trzeba, dodawał, jako Samuchę kozacka brać miłowała:

„Rzekli kozacy,—abo nie wiesz, panie hetmanie, że to nam nierówny plac do potkania, lepiejby o tem radzić, jakbyśmy coprędej uchodzić mogli.—Tego Zborowskiemu było żal,—uczynił więc tę rzecz do nich:—Niechże was nic nie obchodzi, moi mili cnotliwi rycerze! wielkość pogańska ani ta ich ogromna armata, bo to my mamy naprzód przed nimi, żeśmy są ludzie chrześcijańscy,

dla czego samego nie wąpimy, że Pan Bóg za nami pomagać będzie, a sam potłumi nieprzyjaciela, a bluźnierza imienia Swego, któmu i niewinność nam pomoże, jedźmy sobie, nie lękając się, a nie cieszymy pogan, aby na nas serca nie brali... Lepiej ci, moi mili bracia, pocziwie umrzeć rycerzowi każdemu, aniżeli źle żyć“.

Nie uhetmanił długo Samucha na Niżu, pilno mu było za braćmi na moskiewską wyprawę. Idzie tam, pod Zbaraskim, wojewoda braclawskim, walczy, męstwa, odwagi daje do wody, „w różnych harcach wielko-łuckich i toropieckich garnie wieniec sławy na potępionę głowę“. (Siemieński, XV).

A tymczasem—tu jest punkt ciemny w Zborowskiego życiu,—z braćmi przeciw królowi spiskuje. Prawda, że czy to Heidenstein-Bohomolec, czy jakieś procesy i akty Samuela z tego zarzutu nieco oczyszczają, prawda, że u Bielskiego i Krzysztof z Andrzejem nie są tak czarni, jak ich może mieć chciała strona królewska i kanclerzowa, w każdym razie ciemną pozostaje ta sprawa cała, cień pewien rzucać musi i na Samuela. Może nie tylko ona, może srogi instygator, znalazłby w jego życiu

więcej rozmaitych spraw i sprawek cień rzucających,—ale były to wszak czasy, kiedy ludzi, w czynach i uczuciu więksi, szerszemi falami odbiegali od linii przeciętnej w jedną, czy w drugą stronę, czasami w jedną i drugą, to na wyżyny się wznosząc, to opadając w dół, a może nawet ta właśnie linia przeciętności wykreśloną jeszcze nie była i to, co dziś na krańcach stoi przeciwnych, mieć mogło liczne punkty styczne. Może przez to życie było w odskoki bogatsze, pełniejsze, może brutalniejsze, czasami zagadkowe i niepojęte, ale stąd niełza jeszcze wyprowadzać wniosku, że droga, którąśmy poszli, pozwala nam potępić inne wszystkie.

Zresztą wróćmy do Samuela: „Wtem że trafiło się, że Samuelowi Zborowskiemu, (który do tych czasów za giejtem królewskim w Polsce mieszkał), uciekł Wojtaszek niejaki, do króla do Niepołomic i listy tam jakoweś okazał, które króla obraziły, co i Jan Zamoyski, hetman koronny, Janowi Zborowskiemu, kasztelanowi gnieźnieńskiemu, oznajmił, aby go napominał, żeby precz z Polskiej wyjechał, a mianowicie w Krakowie, gdzie on jest starostą, nie bywał... Wtem król do Litwy

odjechał, a Jan Zamoyski, kanclerz koronny, jechał do Krakowa sędzić grodzkich roków, a gdy w Proszowicach będąc, dowiedział się, o Samuelu Zborowskim blisko, rozumiejąc, żeby mu to na despekt miał czynić, a drogę mu zajeżdżać i że słał nań podstarościego krakowskiego, Mikołaja Urowieckiego, który go wziął w domu u Włodkowej, powinnej jego i do Krakowa przywiózł na zamek..., potem, gdy przyszły listy królewskie, ścięt“ (Bielski).

Ale nim ścięt był, przódzi nawiedził go w więzieniu Zamoyski. Tu stanęli przed sobą ci dwaj ludzie, jeden u szczytu potęgi, drugi poniżony; dwaj przyjaciele, z ławy szkolnej koledzy, jeden więzień bezbronny, drugi w orszaku sług „z nałożonemi półhaki“. I mówił Zamoyski: „Samusiu! a tuś mi, już dasz gardło!“, a potem królewskie mu okazał pismo, potem go o przejęte Krzysztofowe listy instygował, aż Samuel: „Przebóg żywy! już mi WMość daj pokój, bo mam za swe; a to mię macie w ręku, czyńcie, co chcecie, więcej nie wysmażycie; dalekom ja jeździł dla śmierci, a nie potkała mię, a teraz zdybała mię insperate; tego tylko żal, że od ciebie

ginę..., a to krótki czas żywota mego, pilniej-
ci mi z Panem Bogiem sprawę mieć, a to z
ciałem już możesz czynić, co chcesz, nie zabi-
jaj duszę; proszę cię o ministra". — „Ten cię
nie potka". — „Więc wždy o kapłana
jakiego"... Przecież chłopiec Mroczków
wybiegał jakiegoś popa pijanego. Przy-
szedłszy, rzekł mu: — „A, ty masz u-
mrzeć, spowiadaj się!" A pan Samuel
prosto rzekł: „Miły księżu, mnieć o wszystko
idzie, a ty ni o czem nie myślisz, znać, żeś
się nie wyspał; idź-że dośpij w imię Boże..."
Potem przyszedł Urowiecki z innemi opraw-
cy, i wziął go. I wiedli Samuchę na miejsce
kazi i wiedli go mimo kościoła. A podczas
z kościoła wyszedł kanclerz i prosił: „Od-
puść mi, Samuelu!"

Dlaczego prosił Zamoyski? czyli nie miał
prawa po sobie, czy nie w imię prawdy, w
imię ojczyzny i króla działał, wszakże ten ska-
zaniec, to zbrodniarz knowający przeciwko
majestatowi królewskiemu, wszakże to wywo-
łaniec na wzgardę dekretów wracający do kra-
ju, wszakże tylko łaska pańska uchroniła go
z czi utraty. A może Zamoyski czuł, że się ko-
zackiemu hetmanowi krzywda dzieje, może

wiedział, że spełnia jedną z tych politycznych
zbrodni, które, choć uprawnione i bezkarne,
zbrodniami być nie przestają? Ludzie XVI
wieku mieli wszak jeszcze tę dziwną szcze-
rość sumień, która nie pozwalała im bezkar-
nie przekraczać jakichś, może urojonych, gra-
nic, mieli tę naiwność ducha i brak konse-
kwencji.

Wołał Zamoyski: „Odpuść mi, Zboro-
siu, że cię każe tracić!" — Odpowiedział mu:
— „Nie odpuszczę przed Bogiem i przed ludź-
mi, bo mię niewinnie tracisz". — Rzekł mu
powtórnie p. kanclerz: — „Odpuść mi, Zbo-
rowski!" — Odpowiedział mu: — „że nie od-
puszczę, to wiedz!" — Zaczyn p. kanclerz
kazał z nim stanąć, mówiąc po raz trzeci: —
„dla Boga cię proszę, odpuść mi!" — On
na to: — „jużeś mię zagadł; odpuszczam,
ale cię pozynam przed strasliwy sąd Boga
Żywego, przed którego majestat ja dzisiaj
stare; ten mię z tobą niech rozsądzi, że
mnie niesłusznie tracisz". — Aż się pan kan-
clerz za głowę chwycił, gdy to usłyszał. Po-
tem do sług kanclerskich rzekł: — „widzę,
że między waszmościami jest wiele zacnych
i uczciwych szlachty; naprzód Bogiem moim

świadczę i jemu samemu przysięgam, żem, jako żywo nic złego nie myślał Rzpltej ani królowi, że niewinnie ginę..." Rozebrawszy się, dał Mroczkowi chustkę, aby ją zmaczał w krwi i dał synowi jego. Wstał z ziemi, obrócił się do kata i rzekł mu: — „proszę cię nie przeszkadzać, aż wymówię to słowo trzy razy: „Jezus... a tobie i hajdukom odkazuje manele". Pierwsze słowo gdy zawołał Jezus, za raz kat uciekł, porzuciwszy miecz... wyrwawszy się, hajduk onym mieczem ściął..."

Tyle pamiętniki, akty, kroniki, rękopisy, a z nich wyrastają na tle chaotycznego a potężnego w swym chaosie życia Rzpltej Batorowej, Rzpltej złotego XVI wieku, kiedy to i po całym świecie bywali ludzie jacyś mocni i możni dziwnie, kiedy i u nas niejeden żył bohater, coby się potrafił z tamtymi mierzyć, niejeden rycerz z duchem w zbroję zakutym, niejeden duch, co husarskimi skrzydłami chciał szybować w niebo, na bój z jakimś nadziemskimi potęgami, bo mu już ziemskich nie stawało przeciwników—na tem tle wyrastają, odrzynają się od niego dwaj ludzie: Hetman Wielki Koronny i Hetman Niżowy Zaporoski—dla nich obu naraz mało było

miejsca w Rzpltej, a może i poza nią, może na całym obszarze panowania Bożego nie dość im miejsca.

Na królewskim sądzie przegrał Samucha, „Pies wściekły, raz zabity, więcej nie kąsa", powiedział król, ale to jeszcze nie koniec, przyjdzie jeszcze „sąd Boga żywego"—czy tam kanclerz zwycięży?

Tymczasem „Śmierć Samuela, człowieka z zacnej i potężnej familii urodzonego, wielką na Zamoyskiego sprowadziła nienawiść w narodzie. Tłala ona przez czas niejaki, ale po śmierci króla z wielkim rozruchem wybuchnęła",—a mówi o tem życiopis i sekretarz kanclerski Heidenstein (Bohomolec).

A tymczasem począł zwłona ginąć ród, z którego dawniej wstawali Zamoyscy albo Zborowscy, bohaterów było mniej coraz, ludzi o duszy potężnej..., a może duchy tamtych w pośmiertnej wędrówce przychodziły jeszcze na ziemię, szukać nowych wcieleń i rozpoczynać na nowo, i dalej prowadzić niedokończone czyny, które im przerwała śmierć z ręki hajduka, albo „nienawiść w narodzie". To tylko pewna, że owo spotkanie u wrót kościoła, to był kulminacyjny punkt jakiegoś wiel-

kiego, nieskończonego i nie rozwiązanego dramatu. Nie skończył się on ścięciem Samuela, czy się na sądzie Bożym skończy?...

Tak właśnie pojął to spotkanie Słowacki.

Dzieje to były i życie dramatyczne bardzo, różni ludzie kusili się o stworzenie na tem tle dramatu, Szujski poświęcił Zborowskiemu pięć aktów, ale jego dramat historyczny jest zanadto historyczny, ażeby być dramatem, a zanadto dramatem, ażeby być historią, chybił zatem celu całkowicie, nie mówiąc już o tem, że wogóle żadnej nie posiada wartości. Obecnie p. Zapolska z Andruszewskim robią do wspólni Samuela Zborowskiego, co zrobia, sądzić trudno z kilku oderwanych scen, jakie z zadziwiającym pośpiechem rzucili na pastwę kurjerowych czytelników, czy posuną się dalej, niż poszedł Słowacki, czy dadzą rzecz większą i głębszą,—niech mi wolno będzie wątpić.

Rękopis Słowackiego rozmaite przechodził koleje, nie wykończony ostatecznie przez autora i zarzucony, nie opracowany, ma on wiele rzeczy, które, zapewne, przy opracowaniu by-

łyby zmienione czy wyrzucone, zresztą, prawdopodobnie uległyby temu drobne usterki formy, co do treści i ducha jest to rzecz skończona całkowicie, owoc zapewne długich rozmyślań, pokrewnych tym, jakie wydały Genesiz z Ducha, ale i samoistości wiele mających.

Dawno już trafił w ręce rękopis ten Małeckiemu, ale Małecki bądź co bądź, wszak to *anima vilis*, dla niego Zborowski to tylko plód wybujałej fantazyi, jakiegoś pół obłąkanego umysłu, jakim się zresztą nietylko Słowacki wydawał „rozsądnym“ pokoleniom, twór, któryby ujme przyniósł pamięci poety, to też przezornie Małecki nie umieścił go w wydaniu pośmiertnem pism, tak samo, jak zresztą i Króla-Ducha całkiem po macoszemu porzucił, niech mu tego nie pamięta Słowackiego Duch. Wyjątki ze Zborowskiego ukazywały się po pismach od kilku lat, całość wreszcie zebrał i odnalazł przed paroma laty Artur Górski, ten cichy pracownik z duszą niezwykle wrażliwą i delikatną, co jeden z pierwszych umiał odczuć i pokazać utajone piękno i moc tych „obłąkanych umysłów“. A usłużny p. Biegeleisen, pośpieszył z wyda-

niem książkowym, przedrukowawszy z wydania Górskiego wszystko dosłownie, od siebie dodając tylko bardzo wielką ilość błędów, i rachunek wierszy, to drugie może ma jakie, czy ja wiem, bibliograficzne może znaczenie, to pierwsze jest stanowczo zupełnie niepotrzebne.

Może kiedyś zresztą doczeka się Słowacki porządnego całkowitego wydania pism, a w niem znajdzie się zapewne i Samuel Zborowski w jednym rzędzie, a przynajmniej zaraz po Królu-Duchu, jako jedno z najpotężniejszych jego dzieł.

„Na skałach oceanowych postawiłeś mię Boże, abym przypominał wiekowe dzieje ducha mojego, a jam się nagle uczułem w przeszłości Nieśmiertelnym, Synem Bożym, stwórcą widzialności i jednym z tych, którzy Ci miłość dobrowolną oddają na złotych słońcu i gwiazd girlandach.

Albowiem Duch mój przed początkiem stwórczenia był w Słowie, a Słowo było w Tobie, a jam był w Słowie.

A wszystko przez Ducha i dla Ducha

stworzone jest i nic dla cielesnego celu nie istnieje...”

Więc był na początku Duch, Syn Boży, duch potężny, buntowniczy i twórczy. Za jakiś bunt czy grzech zepchnęła go Boska potęga z niebiosów, ze słonecznych wyżyn na ciemny ziemi padół, w głębinę mórz i oto z pod tej głębin i z tego mroku idzie wiekuisty buntownik, idzie w niebiosy, moc swoją całą zestrzeliwa w jakichś czynów niezmierną olbrzymiość, idzie i walczy, kuje byt własny w twardym gładzie Bożego gniewu, idzie i sam formy swoje lepi i dąży i mknie i rwie się ku słońcu.

Wiele on, wiele przemian rozmaitych przeszedł i przejść musi, nim się pojawi ten dzień, co się Janowi świętemu we widzeniach jawił natchnionych. Wiele podniebnych wzlotów i wiele straszliwych upadków, wiele promienistych nadziei i zawodów rozpacznych i krwi wylanej i łez, — któż to policzy i obejmie.

A Duch on twórczy idzie.

....mój najpierwszy strąk z hukiem piorunów pękał. Gdy czoło z pod ziemi podniosłem, to tak jak skała wystrzelona rosnę...

Jak ja — duch w pierwszej obudzony kłodzie,
a już ostrożny — z wewnętrznej dorady
naprzód myśl z głową posłałem na zwiady,
latarnie wielkie w łeb wprawiwszy sobie.
Bo ja sam pierwszym byłem Salomonem,
i pierwszą mądrą na tym świecie gliną,
i pierwszą nigdyś najwyższą gadziną...
Gdy ja sam ciągly stwórca mego ciała
tworzyłem sobie kawał po kawale...

I opowiada Duch Lucyfer, w zjadliwej
z Amfitrytą rozmowie, dzieje walki swojej,
jako on poszedł do góry ofiarą w królestwo
Boże, a ona przy ziemi została. A droga ta
jego ciężka była. „Ze krwi o takie morze, jak
to twoje mógłbym pokazać dzisiaj przed Je-
hową” — mówi do Amfitryty.

Tak, wielką drogę przeszedł, budował so-
bie wciąż nowe ciała kształty, aż stał się czło-
wiekiem, najwyższą na ziemi istotą, a droga
przed nim pozostała wielka jeszcze. Więc
nową sobie wybudował formę, formę naro-
dów, narodów tych stał się duchem, chciał je
wieść na wyże, wyolbrzymiać potęgą, budo-
wę doskonalić, żeby dojść wreszcie aż do te-
go Królestwa Bożego na ziemi, podnieść się
aż w słońce.

A tu wszędy na drodze przeleństwo Boże
stało.

Był naród jeden wielki, za ojczyznę go so-
bie obrał Lucyfer, wdział na się kształt jedne-
go z synów tego narodu, zestrzelił w nim
wszystko dobre i złe, co w narodzie było,
chciał w nim iść i prowadzić — i oto temu
człowiekowi ścięto głowę. Przekleństwo Bo-
że, więc rozpoczynaj na nowo wiekuiste dzie-
ło, więc idź i twórz, niechaj ona jasna sre-
brzysta gwiazda zbawienia, niechaj ta święta
dziewica, co się w objawieniu cudownem o-
czom ukazała Jana świętego, niech śpi jeszcze
długie wieki gdzieś w kryształowej zaklęta
trumnicy, nie przyszedł jeszcze dzień, a kiedy
przyjdzie, obudzi się ona, trzy gwiazdy nad
jej czołem palić będą, poznacie ją, jej imię?
na co wam jej imię, poznacie ją po gwiazdach
nad czołem, po tej jasności dziwnej, co się
w okrąg niej rozleje, po tej miłości jasnej,
co się w duszach wam rozświeci, dziś dusze
wasze wszak zimne, — w zimnej trumnie wa-
szych dusz śpi ona.

A wieczny duch-tułacz błąka się po ży-
cia przestworach i kuje formy swego bytu,
kował niestrudzony i kuć będzie, aż taką

stworzy misterną budowę, że godna się stanie aby w niej zamieszkała ze snu tysiącoletniego zbudzona Miłość prześwieta, szczęścia rodzicielka—a wonczas? ha, ha, tymczasem budzi się i umiera duch, szamocze się i walczy „ze krwi o takie morze, jak to twoje, mógłby pokazać dzisiaj przed Jehową“.

Ale gdyby Lucyfer był tylko takim, byłby pospolity i płaski, on ma w sobie większe i tajniejsze głębie. Budziły się pono już do życia duchy bożem oblane jaśnieniem, święte duchy Heliona i Atessy, legły gdzieś na sen długi, lat trzy tysiące trwający, w sarkofagu kamiennym, a kiedy się obudziły znów, kiedy przyszły znów i spotkały się i szły razem jaśniejąc dziwnie, to się pod nogi im rzucił Lucyfer, niby kłoda zawieszona nad przepaścią i pod nogami im się załamał, żeby zabić znów na nowy sen, uwięzić zwyczajne duchy.

Dlaczego? Bo jeszcze nie nadeszła godzina, nie wszystkie były gwiazdy jeszcze nad głową rozpalone. Atessy; zbudzi się ona po wiekach, a wówczas klęknę przed nią Lucyfer, ale dziś nie, walczyć musi, musi na śmierć i życie, bo on jest wszak duchem

człowieka, duchem narodu, duchem ludzkości, a ludzkość, a naród, a człowiek, niegodni jeszcze są przyjąć tej świętej, nie pojęliby jej, tej jeszcze gwiazdy brak w jej koronie, gwiazdy, którą może zapalić tęsknota człowiecza, a czyż tęskni tak człowiek, żeby aż się od tej tęsknoty rozpałały ognie—nie, zimna jest jeszcze tęsknota człowiecza. A Lucyfer wie o tem, i ta świadomość wynosi go, jako kreację artystyczną ponad zwykłość, a jako duchowi, daje mu żywot realny ziemski i mocny zarazem.

Więc tak. Czas jeszcze daleki, a na dziś walka bez końca i wykuwanie nowych form. A Samuel Zborowski? To jedna z tych form, jedno z wcieleń ducha w jego ziemskim wędrowaniu, to może brat Heliona i Atessy; może i on jeszcze do umiłowania jej dostatecznego wznieść się nie umiał, ale po tej drodze szedł, kto wie, możeby doszedł, możeby naród swój do Królestwa Bożego doprowadził, ale—ścięt był.

...bo nie o mnie chodzi,
ale o tę myśl. co narody rodzi,
a była we mnie twoim mieczem ścięta...
Bo we mnie był duch, co części wydziela,

granice kreśli, ledwo Chrystusowi
ugięty, prawa narodu stanowi
i ma moc z Boga.

Gdzież Bóg i sprawiedliwość!
Bo jeśli ja z jego ręki
poniosłem śmierć sprawiedliwą, —
to niech mi ojczyznę żywą
pokaże! Niech ją obudzi,
niech mi ją z serca wyrzuci,
albo niech zajście wróci,
odda tamten wiek i ludzi,
i głowę moją, to wskrzeszę,
choćby jej nie było u Boga!

Wola do kanclerza Zborowski na Bożym
sądzie, a kanclerz żadnej niema repliki, jeno
buntownikiem wyzywa Samuela, jeno swoje
umarłe zwycięstwa opowiada.

Niechby ta mogiła,
w polu ze szwedzkich kości usypana,
tu na mnie utsy setnemi skarżyła...
Więc niechaj wszystkie tu sztandary zniosą,
które ojczyzna ma odemnie w hołdzie,
a przed człowiekiem, co łeb krwawy niesie
pójdę i skryje się, jak w czarnym lesie,
w tym lesie chwały...

Ale nie o szwedzkie sztandary i nawet nie
o straconą ojczyznę toczy się sprawa, tu
idzie o coś większego, o ten duch, co życie

tworzy i świat do Królestwa Bożego wiedzie,
o to panowanie Boże, o te tysiące lat śmierci,
o zatrzymanie ducha w jego drodze, o
marmurowy sarkofag, o kłodę załamaną pod
nogami: Heliona i Atessy, tu o wszystko idzie.

Więc nie ukryjesz się, kanclerski duchu,
ani w chwały lesie, ani w obcym bohaterów
ciele, nie ukryjesz się, wywlecemy cię ze-
wsząd, na sąd Boży powiedziem, broń się,
zdaj sprawę!

Przejdźmy więc do treści dramatu.

Oto książę Poloniusz (może ks. Czartoryski) ma syna, Helion mu na imię, a przed
wiekami, przed tysiącami lat, na sen długi,
w sarkofagu egipskim złożony duch Heliona,
syna słońca wstąpił w młodzieńca i obląkał
go. Obląkał go reminiscencją. Widzi Helion,
przed oczami stawają mu dawne ducha dzie-
je, począwszy od pierwszych zdobyczy,
pierwszych form niedoskonałych, w jakie się
wcielił, buntownik wieczny, aż do ostatniego
z siostrą Atessą uśnięcia.

Wyklęty więc naturę w ramiona pochwycę —
świat wezmę, ręką rozrobię...

i pokażę ci moją moc twórczą
 A ile razy zapłonę
 cały jako słońce złote,
 spotkam twe błogosławione
 i spalę ogniem i zgniotę;
 Wejdę i wstanę z mogiły
 aż mię przyjmiesz,
 choć bym był od gadu krwawszy,
 za żywot i moc ukochawszy...

Tak marzy duch Heliona, i przypomina
 sobie upadki swoje, i tysiącoletnie sny, żeby
 się znów przebudzić—do nowego snu, kie-
 dyż nareszcie przyjdzie ten żywota dzień, ten
 dzień zmartwychwstania, że się obudzą „na
 słońce i miłość, i dawne życie w tęczę rozleje
 się nowe...”

Ale ojciec-książę boleje nad syna obłę-
 dem, przywoływa mędrców-lekarzy, Mistrz
 Theologus i Mistrz Logicus, nad chorym sta-
 ją, uwagi swoje czynią, leczyć go chcą, lecz
 nie odgadli choroby, pocieszają jeno zbolale-
 go księcia słowami:

zaprawdę z twego dziecięcia
 po tej chwili ducho-wzięcia,
 nim dojdzie z dziecka do trumny,
 może być człowiek rozumny.

A Helion tymczasem idzie kędyś pomię-

dzy nagie szczyty Tatr, idzie w srebrzystem
 świetle księżycy snuć swoje sny i wspomnie-
 nia, marzyć i szukać drogi, i przysłuchiwać się
 głosom, co będą mu o tych drogach życia
 mówiły.

I—oto słyszy tych głosów śpiew:

Gdy wyrośniesz na człowieka,
 staną ci sny, jak liczny wróg
 i stworzysz świat, jak tworzy Bóg...

I złamiesz świat i pójdziesz wbrew
 wojskami mar przeciwko ciał...
 i będziesz król, lecz będziesz sam,—
 albo więc idź, albo się złam...

Lecz jeśli duch przełamiesz twój,
 jeśli ty nas odgonisz w mgłę,
 to w tenczas drzyj, a silnie stój,
 bo my, jak psy jesteśmy złe.
 Z pękniętych serc, z serdecznych cisz,
 drwimy, jak grom, co bije w krzyż.

A Helion mocą głosów przejęty, woła:

głosy jestem z wami!

Lecz oto odzywają się inne, ciche, jasne,
 niewinne głosy; dziewczyna śpiewa:

Muszelki są z perłami
 w naszym srebrnem jeziorze,
 zbieram je, wydobywam

i jedwabiem przeszywam...
wkładam we złote włoski
Chrystusowi.

A głos z góry każe Helionowi:

Zbliż się ku tej dziewczynie...
Ciagnij za sobą w słońca...

„Jeden z tych głosów, czuję, świat pokona“,—lecz który? Czy ten gromowy, czy ten słoneczny, a może oba w jeden zestrzelone chór.

I podchodzi Helion do śpiewającej dziewczyny:

Jak sen poprowadzę...
Gdzie! sam nie wiem wcale,
jeśli duch powie,—wstąpimy na fale,
jeśli pochwyci—polecim w niebiosy,
jeśli roztopi—spadniemy jak rosa
jeśli zaśpiewa chór—co teraz niemy,
w echo się jego głosów rozlejemy...

Tak, po wiekach długiego snu, znowu się spotkały duchy Heliona i Atessy, spotkały się kędyś, między gór nagiemi szczytami, nad jeziorem Tatrzańskim. On, oblakany syn księcia, ona rybaka córka, zbierająca perełki i kwiatki na ofiarę Matce Bożej. Spotkali się. Powiedzieli sobie tajemne słowa zaklęć, sło-

wa miłości, i obudziło się w nich dawnych wieków wspomnienie; tak, przypominają swój sen wiekowy, w marmurowym sarkofagu, pod kamieniem grobu cichy, martwy sen:

HELION:

i pamiętasz, że w grobie nic się nie ruszyło,
tylko raz serce, kiedy Jezus wstawał z grobu,

DZIEWICA:

a moje wtenczas, gdy go kładziono do żłobu
i gdy mu pasterz kwiateczki podawał,

HELION:

moje silniejsze wtenczas kiedy zmartwychwstawał,

DZIEWICA:

moje, kiedy go pasterz w żłobeczku wychwalił.

Tak, poznali siebie, poznali miłość swoją i moc, i oto idą:

My równi i nadziemni,
odtąd nierozzerwani...
Schodźmy razem w dolinę,
schodźmy w powietrze sine,
do tej wielkiej otchłani...
w bukowych lasów morza,
schodźmy silni i młodzi;
a za nami ta zorza
różana niechaj schodzi
i skronie nam opasze,
zorza — powietrze nasze... (Schodzą).

Schodzą, a w oknie palacu stoi książę
Polonius z Lucyferem i patrzą, i widzą dwa
duchy złote idące, ale książę widzi tylko
swego syna i córkę rybaka,

O jak ród mój plami
takie szaleństwo!

to tylko mógł zobaczyć książę, on nie wi-
dział, nie mógł obaczyć cudu, który się stał.
Ale Lucyfer wie, że godzina nie nadeszła je-
szcze, tak, jeszcze spać muszą snem, tysiąc-
letnim snem duchy zorzane.

I cóż? —

„kłoda rzucona mostem pękła,
Para cieni złota upadła w przepaść..
I polecieli, jak para łabędzi
Syn Apollina—z „córką Amfitryty“.”

A książę staje nad kaskadą lamentujący,
on nie wie sam może, że to on zabił przy-
chodzące Królestwo Boże, przychodzącą świa-
tłość słoneczną, nad bólem swoim jęczy i żali
się u kaskady, kędy zginęły duchy; tak dru-
gi raz stał się zabójcą Królestwa Bożego, raz
pierwszy wówczas, kiedy ściał Samuela —
i w nim się obudza reminiscencya, duch kan-
clerza obudził się w księciu.

A Lucyfer zeszedł w królestwo podwo-

dne, żeby patrzeć, jak duch Atessy na nowy
się ułoży sen. Stanął w obszarach, kędy panuje
Amfitryta, oni nienawidzą się, bogini mórz
przebaczyć mu nie może tych jego ducha
czynów i buntów, że się z jej głębin wyłonił
przed wiekami, i panowanie swoje nad nią
rozciągnął, a on ją urągliwemi szarpie sło-
wami: „Ja w wyż poszedłem, a ty pozosta-
łaś w dawnem łożysku, ja kułem sobie nowe
wciąż formy do Boga, do słońca idąc, a ty
pozostałaś, jak dawniej; cóżes uczyniła, có-
żes stworzyła; bądź błogosławiona, z której
się narodzi, dalibóg nie wiem kto? Handel...”

Tak, odeszły od siebie te moce, wzbił się
duch człowieka ponad ducha natury, odbiegł
od niego i zamarła w nich miłość wzajemna,
nienawidzą się i szarpia. Ale pojawia się oto
Atessa, Dyana, Miłości duch.

Przychodzę do was, matki,
po muszelki i kwiatki..
Szukajcie mego ciała pod zieloną kaskadą,
w waszem królestwie leży...

Spotkały się więc w królestwie podwo-
dnem te dwa duchy, którym kiedyś dane bę-
dzie świat w Królestwo wprowadzić Boże.
Ona—cud, ostatnie słowo Bożej potęgi, On—

kował form, bytu własnego i szczęścia. Spotkały się. A Ona czuje swoją moc i słoneczność, ona niema dla walczącego Lucyfera nienawiści, jak Amfitryta, wszakże „on cierpiał... szedł do góry i szedł z cierpieniem...”

Cóż stąd, że w tym bólu i cierpieniu płodził złe, że się odwrócił od Boga, i błdził, przyjdzie godzina wybawień, kiedy wreszcie wybuduje sobie formę doskonalszą, a tymczasem

Siostrzyce,
Koralową trumnicę
zróbcie mi na dnie fali:
dwie gwiazdy morskie w nogach
i dwie gwiazdy pod głową
na czterech trumny rogach
niechaj mi świecą we śnie.
Bo choć na świat bym chciała,
to dzisiaj jeszcze wcześniej...

A ten?

Ten między ludzi,
on mię kiedyś obudzi...

Tak, on ją kiedyś obudzi, kiedy nadejdzie godzina, a dzisiaj musi jeszcze iść na ziemię, musi płodzić złe i grzech, bo taki jest świata porządek, bo nie ma dla niego miejsca na

świecie, bo moc przekleństwa jakiegoś ciąży na nim i krzywi drogę jego... „Miłości wiatru, a wszystkie kolumny padną...”, ale oto miłość ta na sen kamienny „idzie nabywać żywota i siły, a ja, jak ogień i wulkan bezserenny, zawsze bez ciała, zawsze bez mogiły, ani nie umrzeć, ani się narodzić”.

Znowu głos tajemny woła na ziemię, woła na jakiś nowy czyn, nową pracę, i znów bezowocną, bo dzień on, dzień zbudzenia Atessy—Dyany daleki, bardzo jeszcze daleki, nie widzi go jeszcze Lucyfer; dopóki trwać będzie ta walka? to szamotanie i rwanie się naprzód bez końca?

Idzie Lucyfer, posłuszny wołaniu przeznaczenia, Dyana w koralowej usypia trumnicy, a chór mądry, chór starców, niby w tragedyi greckiej, który staremi oczyma przenika bytu zagadki i tajnie, śpiewa:

STROFA.

Duch życia to rycerz dumny
i ciągle idzie do góry,—
czasem, przed prawem natury,
jako przed piorunem stanie,
zbladnie i siły natęży,

wskoczy i piorun zwycięży
i powraca błyskawicą,
Aniołem i gołębicą
spokojną...

ANTISTR.

Bo nie ten, co w piekło wierzy
ale ten, przed którym pęka
ten świat objęty ramiony,
miłością serca skruszony,
z tajemnic wypowiedany,
jak nimfa jasna i złota,
ten będzie wpisany
w ostatnie księgi żywota.

A Lucyfer powrócił na ziemię. Oto dziwne tu stały się rzeczy, Helion powrócił zdrów, już jest, jak przewidywały mędrcze, rozumny, już go nie trapią fatalne duchy wspomnień, a zato obudził się obłęd w księciu, niezrozumiałe rzeczy powiada, jakiś duch wielki i czarny wstąpił w niego...

Zajechał mi z ulicy przed wielkim ogniskiem
ja zrobiłem giest taki:—Ustąp! W błyskawicy
widzę tego człowieka.—Zrobiłem giest taki!
ściąłem go...

Leży obłąkany książę w łóżnicy swojej,
czuwają braciszkanie bonifratrzy, z nimi Lucyfer.
Piją miodek stary, częstują się tabaką z

rogą, rozmawiają o duchach. Naraz duch
przechodzi przez salę.

Otyły wielki, w delię białą
ubrany, z koralowym płaszczem na ramieniu,
...z szyją grubą cokolwiek i tłustą,
która dziś może będzie obwiązana chustą,
choć zwykle za życia gołe nosił gardło,
z twarzą smętną i groźną chociaż obumarłą,
...reszta w oczach...

To Samuel przyszedł po ducha kanclerza,
żeby go zabrać z ciała księcia obłąkanego i
prowadzić na sąd, na straszny Boży sąd. Wiemy już, jak mu tym sądem groził, kiedy się u wrót kościoła spotkali, oto chwila nadeszła. Przyszedł duch Samuela: kanclerzu, na sąd cię powołuję, na sąd Boga żywego.

Więc oto w królestwie nadziemskim toczy się sąd. Wielkie duchów gromady zebrały się, ażeby patrzeć i słuchać. Przed sądem Jana i Samuela duchy stają. Straszna między nimi walka, której początek gdzieś na dnie mórz, w pierwszej obudzonej życia formie, a koniec? — któż wie, gdzie jest tej walki koniec?...

Ja, com ojczyznę włonił
i całą nosił w sobie,

leżę w skrwawionym grobie...
 Mój szczep
 rodowy już wymarły.
 Patrzcie, a ci od świata,
 pomiędzy temi karły
 gdzież znajdę edwokata...
 Panie, ten człowiek u którego chusta
 krwawa, jeżeli ją przed tobą złożę,
 krew mówić będzie, podobna kolumnie
 krwi sprawiedliwej.

LUCYFER.

Ta chusta jest u mnie.

Lucyfer stawia, jako instygator, rzecznik,
 obrońca Samuela, w ściętym zabity został on,
 zabity został duch ku niebu idący, duch stwo-
 rzyciela form. On stawia i mówi:

O cóż ja stoję tu? O jego ducha,
 stoję, przez który duch szła Polska w górę...
 Na świecie będąc węzami popędzę
 tę smutną ducha leniwą naturę,
 która opiera się idącym w górę
 i wieczny opór z dawnej formy stawia...
 Na świecie mój trup...
 wstanie i pójdzie żalosny i drwiący
 po wszystkich błotach z bałwanem się szargać.
 za wszystkie serca niebołące targać,
 próbować, które mi do tonu jękną...
 Gdzieś na na mogile... jako błyskawica
 przenikająca świat...

stanę i głosu dobędę i powiem
 ostatnie słowo,—tu wrócę do prawa—

Więc: ducha droga idzie przez Polskę,
 a w tym oto człowieku popełniono na niej
 morderstwo, a skutkiem jego cóż jest?

ciała szlachetne, a z szubienic zdjęte,
 duchy szlachetne, a skalane błotem,
 krzyż naszej męki grożący wywrotem
 nawet aniołom.

A tam jaśniej kędyś cel życia ostatni,
 ducha ludzkiego cel i narodów, taki, jaki się
 w Apokalipsie śtemu Janowi jawił. „Miasto
 żyjące pod boskimi berły“ — ale ten cel
 daleki, nie mogą, nie umieją duchy człowiecze
 do niego się wzbić: „a te za jadłem ciągle
 lażą chciwe, a te są głupie, a te są leniwe“,
 tylko on był jednym z tych, co śmiało ku
 temu celowi dążyli, na nic niepomini szli z wia-
 rą i mocą.

Krew jego poszła tam na własnych nogach,
 i już stanęła i już zaśpiewała,
 i już zmartwychwstała, już śpiewał ten ścięty.
 Kto słyszał? Ja sam. Kto drugi? Jan ścięty.
 Jeśli dowodów trzeba, dajcie księgi:—

„I ukazał się znak wielki na niebie, Nie-
 wiasta obleczona w słońce, a księżyc pod jej

nogami, a na głowie jej korona z gwiazd dwunastu“.

Azacz nie Polska to już bez potęgi,
taka, jak jest, w gwiazd wiecznym łańcuchu,
która świętemu się Janowi w duchu
ukazywała przez jutrzni rubiny?..

A Lucyfer mówi, i słonecznie maluje jasne ducha wschody, jego zwycięstwa olbrzymie, i jego upadki rozpaczne, tak, on zwycięży na tym sądzie, bo za nim jest prawda, a na tym sądzie tylko prawda, tylko miłość zwyciężyć może. A duchy klaszczą, one już wierzą Lucyfera słowom, już gotowe iść za nim, kędy powiedzie. Więc pyta:

Czemże wam dowiodłem,
że o to za krwią, jak za waszem godłem
chcecie, podobni do śnieżnego pierza?
Wprzód zapytajcie tu ducha kanclerza,
może on zbawcą i chorągwią złotą
a ten czerwony, ścięty—Iskaryotą
ojczystej myśli z szatanem w przymierzu?

W tym kanclerzu była
Ojczyzny naszej powaga i siła,
wielkie rycerstwo i czyn prędko żywy...
gdybym ja, duchy, już was mając w ręku,
już do powiania, jak chorągiew złotą,
mógł ją pochylić przed prywatną cnotą...

zarazbym uciekł od krwią zbrozonego...

O! człowieku,
czemuś ty w innym nie wstał jasnym wieku,
czemuś, o teraz w innym nie wstał kraju...
tam byłbyś wyższy nad lud całym czołem,
dla nas ty szatan, tam byłbyś aniołem,
u nas ty jesteś nie ludzki nie bratni,
i za ostatnim Polakiem ostatni...

Tak, kanclerzu, gdzieindziej zrodzić się
i działać powinieś, a tu mimo woli twojej
popeliłeś straszną zbrodnię:

Panie! Tu była wielka Polski zdrada,
tu w tym człowieku, co nakształt latarni
używa teraz głowy i roznieca
krew swą, a tego kanclerza oświeca
i pokazuje trupem:—Polskę ścięto...

A jednak kanclerz nie wygląda na ojczyzny wroga,

zostawcie go więc smętnego z myślami
to jego kara...

A oto Dyana rozkazuje —

Prowadź...
w jakie odludne miejsca tego ducha,
i postaw, niechaj ślepy jęku słucha,
niech koło niego rój jęczących brzęczy,
a ty mu tłumacz, ślepemu, kto jęczy,
i powiedz, skąd grzmi ów wiatr rozplakanych

To jego kara. A oto cud. Koniec sądu;
Chrystus pojawia się, aby ostatnie wyrzec
słowo. Chrystus mówi:

Sieście duch, aby naród z pod ziemi wyniknął,
I do niebios prowadził prostymi drogami
Gdzie ja jestem...
Święci są wszyscy nowi,
Ja powiadam,
Ja przez nich teraz czynię na świecie i gadam,
a wszyscy są jak duchy w ognistych cierpieniach
idąc przeciwko ciału...

I jeszcze mówi Chrystus:

Kto ducha swego wyleje i zaśnie,
ten jest...

wyroku nie domówił, zniknął...

A Lucyfer gaśnie, przez kanclerza prze-
szedł sędzia. Lucyfer gaśnie. Samuel przy
nim:

Kanclerzu rękę daj, my przy nim oba,
kanclerz, gdzie kanclerz?
już go niema,
Sędzia przez niego przeszedł...
Jan, kanclerz, taki wielki duch, ogromny,
z serca bym wskrzesił go...

JAN.

Jestem przytomny

Staje razem ze Zborowskim przy gasnącym
Lucyferze.

Lucyfer uczynił swoje; — teraz już czas
Chrystusowego panowania, miłość Samue-
wa wskrzesiła kanclerza, stoją oba, już nie
wrogą, a towarzysze; oto dzień sądu i dzień
pojednania; może się kędyś budzą z grobu
duchy Heliona i Atessy, ich królowania przy-
chodzi. godzina.

To w królestwie nadziemskim. Na zie-
mi jeszcze wiele, wiele walk, jeszcze długi,
długi sen.

To treść, czy ja wiem zresztą, może to na-
wet nie jest treść, bo poza tem tyle, tyle
różnych myśli winie się przez poemat, tak
całe ogarniają życie, tak skrzą się i promie-
nieją „niby złoto w słońcu“, to znowu nabiera-
ją ciemnych i mrocznych barw jakiejś nawałni-
cy gromowej i huczą przeraźliwą pieśnią po-
gromu. Taka dziwna pełnia i moc jest w tym
poemacie.

A poemat to wielkiej wszechogarniającej
miłości, która przez krew i krzyż idzie do
zwycięstwa.

Analizować go lękam się, byłaby to może
niewdzięczna i bluźniercza praca, tykanie

chciwemi palcami relikwii świętych. Ale nie. „Samuel Zborowski“ to nie relikwie, to żywe słowo, duch i czyn żywy. Żywy i nieśmiertelny, jako ten Lucyfer, buntownik wieczny, potężny, jak samo życie, jak wiekuista do Królestwa Bożego tęsknota dusz miłujących i jak to straszliwe przekleństwo, co moc ducha twórczego łamie, co mu zaporą nieprzebytą poprzek drogi się kładzie.

Tysiąc jest potęg, co światem rządzą. Każda w inną go prowadzi drogę, każda na inne manowce. Ale dwie są wielkie potęgi, a z chwilą, kiedy się one spotkają, kiedy spotkanie to ich rozbłyśnięcie słonecznym promieniem ożywczej miłości i świat cały ogarnie dokoła, z tą chwilą zapanuje wytęsknione królestwo, ziemia stanie się jako ten gród cudowny, co się Janowi świętemu zjawił.

Ale to stać się nie może, nie dzisiaj jeszcze. A tymczasem te dwie potęgi przeświète, te dwa duchy słoneczne, Heliona i Atesy, Lucyfera i Dyany duch, muszą tylko śnić o sobie, w utęsknieniu wiecznym i w męce przedzierania się przez cierniste drogi żywota. Ona jest święta i jasna, ona jest jak słońce samo, bożego blasku pełna, prze-

czysta i przemożna — na nim tylko przekleństwo ciąży. Czy jest to biblijne przekleństwo za dumę, czy kainowe piętno, czy wreszcie inny jaki niezatarty grzech — nie wiem. Dość, że musi ten Lucyfera—Heliona duch, ciężką przebywać drogę; przez ogień męki i tęsknot trawiących i walki krwawej iść, aż nim dojdzie do potęgi swej szczytu, aż nim stanie się tak wielki, że potrafi z jej snu na wieczny żywot Dyana—Ateśkę obudzić. A do tego trzeba naprawdę przeolbrzymiej mocy, takiej mocy, która już poza granice człowieczego pojęcia wybiega, w niebo sięga, nietylko waży się Boga wyzywać i walczyć z nim, ale może nie lękać się w tej walce porażki. Bo Lucyfer to także Syn Boży, także Bóg, równie, jak tamten mocny i królewski, jeno mu dzieje się krzywda, jeno jakaś nieubłagana przeznaczenia pajęcza tkań oplątała go dokoła cieniem mroków. I miota się w nich, jak Prometeusz przykuty, a żywota sęp szarpie mu wnętrzości, a on potęgę swoją zbiera i skupia, żeby jednym pociskiem olbrzymim, jednym woli wytężeniem Kaukazu martwe skały pokruszyć, wstrząsnąć świata budową, powalić ją — a na gruzach wykwitnie przedziwnej białości i

woni kwiat, mistyczny kwiat, wzrośnie nowe bogów pokolenie z Miłości Heliona i Atessy zrodzone. A wówczas zapanuje królestwo Boże. Ale dziś ciągle jeszcze zawczasie, Lucyfer wie o tem i dlatego musi pełnić grzech, musi się stać Kainem i Iskaryotą. I niewolno mu w drodze stanąć i rąk opuścić, musi iść, musi, musi.... I cięży na nim ten straszliwy mus, jak przekleństwo cięży.

A nie dość na tem, oto jeszcze gorsza klątwa go ściga, zakaz straszliwy, niewolno mu w drodze jednego szczebla opuścić, jednego kroku uczynić nadto. Choćby wiedział, nie może powiedzieć słowa jednego, któreby przybliżało Królestwo Boże. Musi w dusze człowiecze się wcielać i w dusz tych postaci krok za krokiem posuwać się zwolna, placówkę za placówką zdobywać. Przez walkę i przez krew iść musi. A często łamać sam siebie i uczynione już niszczyć i wracać, i rozpoczynać na nowo. Straszliwe przekleństwo, kara wymyślna.

Ale dojdzie on, uśpioną zbudzi słoneczność.

A „Samuel Zborowski“, to jeden z walki tej krwawy epizod.

Ziemio, ty, ziemio! W grzechuś poczęta. Oto duchowi mojemu rozświetliła źrenicę zorza wschodząca, oto widzę w dali stojące, szczyty śnieżne, zarumienione zorzy odbłaskiem, i duchów jasnych kolumny w taneczny związane korowód, wiodą na szczytach królewski płas. Oto widzę wielkie święto zmarłych wstania. Rozpaliło się niebo pożarem łun, to kędyś płoną skalane grzechu świętynie, a wokół jasność wschodzącego dnia.

Już wzeszedł, wytoczyło się słońce promienne, wytoczyło się na wielki przejasny nieskończony dzień. Febus promienisty do szczytu swej słonecznej drogi doszedł i stanął, i wypręga rumaki srebrnogrzywe. Już dosyć, skończone jego fatalne wędrowanie, już nie będzie powracał w cienia krainę, już po wiek wieków ostanie płonący na jasnym nieba lazurze. Oto wszystkie światła i blaski wokół króla stanęły, niby pochód weselny, oto wielki hymn tryumfu idzie z piersi stworzenia i płynie, i echami przetacza się ponad ziemią, o srebrne gór szczyty się objaja i toczy się, i dźwięczy. I brzmi hymn weselny tysiącem głosów rozbrzmiewa, Veni Creator. Wielkie

święto zaślubin, dziś ziemia, dziś życie swoje ze słońcem i szczęściem obchodzi zamęście.

Ozwarły się groby, przywalone złomami granitu, i wstała z nich Moc i Miłość, ze snu lat tysięcy, na słońce otwiera powieki. A wkoło kwiatów girlandy, a wkoło światło i słońce. Żyj szczęście. I oto siódmy dzień tworenia, niedzielny, świąteczny dzień. Nie, nie odpoczął Bóg, jeno moc swoją całą zebrał, by po raz siódmy wyrzec wielkie stań się. I oto dźwięczy słowo, niby przedziwna pieśń. Powstała z grobu Atessa, „a miesiąc pod stopami jej, a wkrąg głowy korona z gwiazd dwunastu“. Ziemia, szczęśliwa ziemia, nałożył na cię dłonie łaski pełne Bóg.

Ale to sen.

Niech wejdą kłosa świetne,
niechaj wejdą czerwone,
mrozem je ducha zwionę
sierpem je ducha zetnę.
Cóż tam więcej na ziemi?..
Wrzask i nędza i burza...

Rozpanoszyła się noc ponad ziemią, czarna, bezgwiezdna noc. Wichry przygnały skądciś chmur ołowiane zastępy, a grom, w nich złowrogi, a piorun w nich, co zabija. A do-

łem krzyże i krew. Krwi morze, krzyżów ulice. A pośród krwi i krzyżów błądzi Lucyfer, wieczny buntowny duch, błądzi i błądzi przez tysiącolecia.

I zimne stoją sarkofagi z kamienia, śpi w nich Miłość i Moc, śpi Atessa, śpi szczęście. Bóg nie wyrzekł ostatniego słowa, zamilkł, nie chciał go wyrzec. Ty sam o nie walcz Lucyferze, idź i walcz, buduj formy nowe i krusz, aż się staniesz mocny, jako On, aż sam one słowa wielkie, one zaklęcia wypowiesz, wypowiesz siódme „stań się“. Idź i walcz. Zbudź się, daj życie tej mocy, co śpi na dnie duszy twojej, straszliwym milczeniem, Jehowy zaklęta.

Tak, ziemia, w grzechuś poczęta, a trudna droga wybawienia i pokuty.

A choćby tak snuć bez końca i, wodze tęsknotom puściwszy, marzyć i śnić sny przekwieciste, to się za Słowackiego duchem nie nadaży, przedziwna jakaś moc była skrzydeł jego, kiedy królewskim lotem przebiegał ponad ziemią i życiem, i ogarniał spojrzeniem całą jej nędzę i ból, i w piersi brał całą tej ziemi tęsknotę i całą mękę tworzenia i stra-

szej a pokutnej drogi, i wielką miłością rozpalał serce.

Sądzić dzieło sztuki? tak, ale sztuka cóż jest?

Polak w obrazie widzieć
chciał Najświętszą Pannę Snieżną,
którą łańcuch gwiazd w niebiosach spotyka,
okraża tęczę, jej białości plami,
i chciał rozmowę jej słyszeć z gwiazdami,
śnieżną, w posępnych mgłach mówiącą smutnie,
a wszystko to chciał obaczyć na płótnie
nim nazwał mistrzem jakiego malarza...
u nas, gdy sądzą jakiego pisarza,
a on na chwilę głos i lutnię złoży,
to mówią: milczy—bo niebo otworzy,
milczy, bo zbiera teraz siłę duszy,
którą kraj wskrzesi i z mogiły ruszy...

...Sztuka to rzecz wielka,
narodów często całych zbawicielka,
przechowująca na dnie duszę duszy—
lecz kto kamienia gdzie z ruin odkruszy
i krzyczy: Patrzcie pięknoty kaganiec,
a nie wie, że ten kamień to wygnaniec
bez żadnej mowy...

Kto taki kamień
przyniesie,—winien jest sądu i piekła...

A jeśli tak, to nie o sztukę tu chodzi, nie o „mowy przenośnie“, nie o piękno i dźwięk,

i barwy, i formę, tu chodzi o duszę, o tej duszy całą głęb' i bogactwo, o całą jej mękę i wszystkie tęsknoty.

Więc nie potrzeba, niewolno mówić o sztuce, bo tu o życie chodzi. A życie cóż jest? Lucyferowa walka i tworzenie bez końca, własnego bytu tworzenie.

Więc trzeba było tak mówić, jak mówiłem, mówić słowami i myślą Samuelowego rzecznika, co duszę świata w swoją duszę włożył i o świata krzywdę przed Boży sąd niósł skargę krwawą.

Jesteśmy zatem w jądrze samem mesyanicznych marzeń o posłannictwie. Nie chodzi tu o już o sztukę, ani o dzieło sztuki w znaczeniu zwykłym, wkroczyliśmy na wyżyny, gdzie sztuka staje się czynem, proctwem, objawieniem, Prawdą, którą Bóg, nim w czyn wprowadzi, „wpierw swoim świętym objawi na ziemi“. (Amos).

Rozpocząć krytykę mesyanizmu, byłoby conajmniej nie na miejscu, zresztą krytyka to jest trudna, dla tej prostej przyczyny, że porównywać byśmy z nią mogli tylko objawy i teorie życia takie, jakie się w nas rodzą, jakie panują w społeczeństwie, jakie są kie-

rowniczemi motorami życia ludzi, krojonych na miarę krawca, naszego życia—a to wszak wielkości nie współwymierne. Cóż więc moglibyśmy tym srebrnym snom przeciwstawić, czy jak ci królowie z „ksiąg pielgrzymstwa” stawiać nowe lub wskrzeszać stare bałwany, apoteozować interes i względy polityczne, społeczne, życiowe: jakie kto chce. Wszakże to byłoby śmieszne, bo czyż nie jest śmieszne przeciwstawiać słońcu, ślepą latarkę, i życie swoje według tej latarki ślepej kierując, kłać słońce za to, że próżno blaski swoje rozprasa, tak hojnie, że wogóle blasków ma zbyt wiele?

A taką właśnie byłaby tu wszelka krytyka, trzeba zrozumieć i odczuć, że marzenia Nietzschego o nadczłowieku znalazły tam swój wyraz przepelny, że między bohaterami i półbogi toczy się dramat ten i sprawa o posłannictwie i o skażonem objawieniu, a my coś jesteśmy,—chleba zjadacze. A z chwilą, kiedy pojmiemy to, jasnem się stanie, że niewolno i nad siły nasze jest przykładać jakiegokolwiek krytyki probierz, do tego, co jest tak bezzmiernie od nas, od naszego pomyślenia większe.

Więc można tylko w piersi się bić i wołać, eheu! mały jestem i podły, wszakże ty, Słońce, nie gardzisz mną, oblewasz mię promieniami swemi, więc duszą pragnę w twych promieniach się rozjaśnić. I można modlić się o moc, o siły, żeby na dobrowolny poświęcić się krzyż, bo wszak

całemu światu lampą tak cudowną
stać się, gdzież większa jasność nad człowieka?

bo wszak

złych inaczej przerobić nie można,
tylko w śmierci godzinę miłością anioła...

I można jeszcze wyć i ujadać, jak psy wyją na księżyc. Ale to wszak nie będzie krytyka.

Więc cicho pochylmy odsłonięte głowy, cicho stąpajmy obnażonemi nogami: oto jesteśmy w świętym świętych, za tajemniczą zasłoną, którą przed nami uchylił gieniusz poety i ducha wielkiego. Oto jawią się oczom naszym tajne karty księgi przeznaczeń, patrzmy w nie i czytamy, i słuchajmy, kto uszy ma i słyzy.

Stała się zbrodnia i grzech, i przekleństwo. Zabito Heliona i Ateussy duch, na sen je tysiącoletni zaklęto; ale nadejdzie godzina.

Nadejdzie słoneczny zmartwychwstania
dzień, zbudzą się ze snu duchy zakłète, słoń-
ce wszędzie i nie zajdzie.

Rozplonie światłość Królestwa Bożego,
rozdźwięczy weselny hymn ziemi i życia ze
szczęściem zaślubin.

Ziemi, ty biedna, ziemio! w grzechuś
poczęta. Lecz Bóg nie wyrzekł jeszcze osta-
niego „stań się“, oto nadchodzi siódmy wielki
dzień tworzenia.

Ziemi, szczęśliwa ziemio, w głębinach two-
ich drzemią moce bezmierne, co ci przyniosą
grzechu odkupienie i zwycięstwo.

Idź więc i walcz.

Przez krwawe krzyżów i męki ulice pędź
oblakany Lucyferze, aż nim nadejdzie dzień,
aż dane ci będzie ze snu długiego na żywot
wieczny jasny Miłości-Atessy duch obudzić.

Pędź Lucyferze!



SPIS RZECZY.

Godzina pogardy	7
Dramat woli	63
Mickiewicz, Słowacki i Towiański	103
Słowackiego Samuel Zborowski	149

